ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

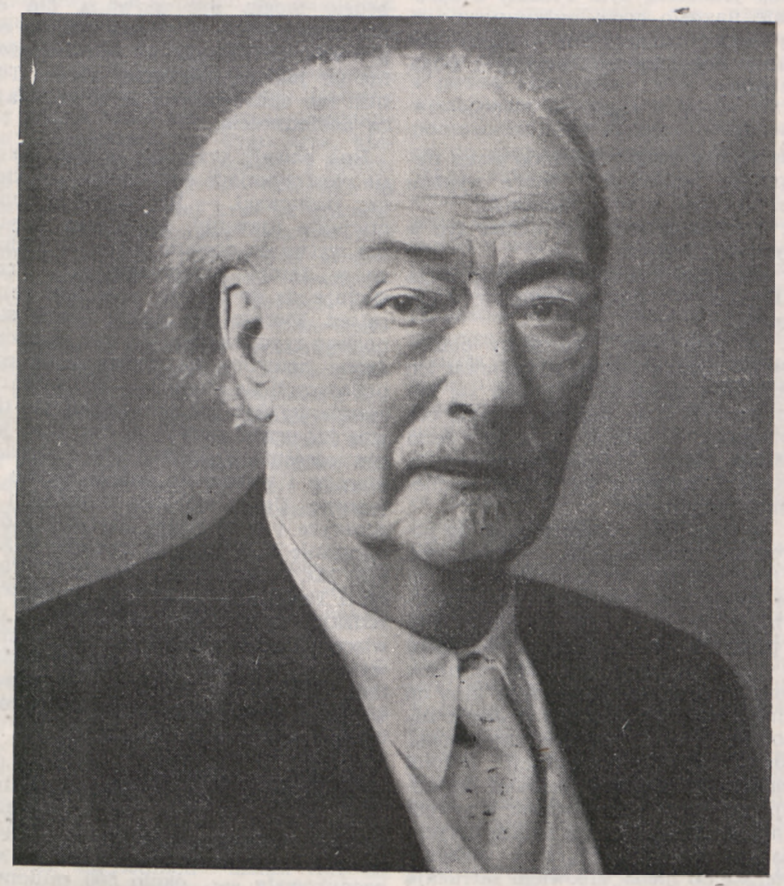
CENA 1 sh

ROK VIII. Nr 7/347

LONDYN, 14 LUTEGO 1954 R.

STANISŁAW STROŃSKI

PADEREWSKI



Gdyby powiedzieć, że Paderewski był wielką postacią, wielką osobą, wielkim twórcą, wielkim człowiekiem, nie byłoby to jeszcze wszystko i nie co najistotniejsze. Dlaczego? Paderewski był czymś więcej niż się mieści w pojęciu jednostki, był potężnym i uroczym zarazem zjawiskiem darów ludzkich, jakie się zdarzają w jednej osobie raz na szereg pokoleń lub nawet wieków na szlaku dziejów narodu i nawet ludzkości.

Był on nie tylko niezrównanym władcą dźwięków, był też jako świetny mowca mistrzem słowa, był człowiekiem niezwykłego umysłu, rozległej wiedzy i niebywałego obycia światowego, był znakomitym mężem stanu, miał uznanie i podziw świata, stał się przez to wszystko wielkim przedstawicielem polskości i ducha polskiego.

Ta właśnie wielostronność i doskonałość zarazem złożyły się w nim na coś więcej niż wybitna osobistość, bo na wspaniałe zjawisko w oczach swoich i obcych.

To nie ja tutaj tak mówię w nastroju uroczystości wśród rodaków, to dawno powiedzieli znakomici współcześni cudzoziemcy, to jest ustalona prawda światowa o Paderewskim.

Saint-Saëns, wielki muzyk francuski i, wiadomo, bardzo bystry umysł, nie całkiem rówieśnik Paderewskiego, bo o ćwierć wieku starszy i patrzący nań z tej podstawy doświadczenia życiowego powiedział o nim:

— Paderewski est un génie qui, par hasard, joue du piano... Paderewski to geniusz, który przypadkiem gra też na fortepianie.

Gabriel Hanotaux, pisarz z Akademii Francuskiej, uczony dziejopis, polityk, rzekł i napisał:

— En effet, s'il est, dans notre génération, un home qui donne l'impression du génie, c'est Paderewski... Jeśli ktoś za naszych czasów daje wrażenie geniusza, to Paderewski.

To nie przygodne słowo, lecz sąd rozważny, po rozejrzeniu się wytrawnego znawcy na widnokręgu światowym końca XIX i początku XX wieku: jego jednego widzi na tej wyżynie.

Więc o Paderewskim nie można i nie godzi się mówić określeniami pochwalnymi, które zawsze będą bledsze i słabsze od rzeczywistości, lecz chyba raczej zdarzeniami i przeżyciami jego, które mówią lepiej same przez się.

MISTRZ DŹWIĘKÓW

W dziedzinie dźwięków, najmniej bodaj podległej ograniczeniom i twórczości i w pięknie, nie było dlań ni wyżyn ni głębin nieosiągalnych. Być może, że najzwięźlej i najbliżej prawdy wrażenie potęgi i wdzięku gry Paderewskiego wyrażało się w najpowszechniejszych i najprostszych słowach tysięcy i milionów widzów - słuchaczy. Starsi, którzy słyszeli wielu przed nim, mówili: tak jeszcze nikt; młodsi, którzy słyszeli wielu po nim, mówili: tak już nikt; wszyscy mówili o innych najznakomitszych: tak, tak, bardzo, bardzo, ale to nie to, co Paderewski. Był bowiem w tej grze, w jego grze, swoisty urok wielkiej duszy.

W r. 1884 w Zakopanem słyszy go Modrzejewska. „Pan musi wyjechać za granicę na dalsze udoskonalenie się — mówi ona — i zdobyć imię światowe." Pojechał do Wiednia do słynnego Leszetyckiego. W Zakopanem też, Chałubiński postarał się o to, że słynny skrzypek ludowy Bartek Obrochta grał mu melodie góralskie, on słuchał, przenosił w nuty i tak powstało „Album Tatrzańskie", z umiłowania swojskości.

W Warszawie pierwszy jego koncert był w r. 1885, a później przybywał tam co pewien czas, jak w r. 1898 na trzy koncerty dobroczynne, a w r. 1901 na otwarcie Filharmonii.

Po pierwszym koncercie w Wiedniu w r. 1887 wielki Johannes Brahms, którego prosił o uzupełnienie wykształcenia, powiedział:

— Po co Panu nauczyciela, dość Pan umie, by sam iść dalej i wyżej.

Pierwszy jego koncert w Paryżu był w niewielkiej sali Erard, paręset osób, wśród których jednak główni kierownicy koncertów paryskich, Lamoureux i Colonne, a z pierwszego rzędu oklaski rozpoczął sędziwy Gounod. Wkrótce wielki koncert Lamoureux. Już jako lew Paryża („le lion de Paris") gra w r. 1890 w St. James Hall w Londynie i nawet młody wówczas, a zawsze najprzekorniejszy z przekornych, Bernard Shaw mruczy, że coś w tym jest.

Po pierwszym koncercie w Nowym Jorku, w r. 1891 w Carnegie Hall, zachwyt wyraża się w głosach pism, że dla zestawień trzeba chyba sięgnąć do Rubinsteina w r. 1872 i do Hansa Bülowa w r. 1875. Zaczyna się pochód zdobywczy, z miasta do miasta, wzdłuż i wszerz Stanów Zjednoczonych Ameryki. Czym był tam Paderewski koło r. 1900, lepiej niż cokolwiek wyraża, na sposób amerykański, ogłoszenie ówczesne w pismach:

— Paderewski is the King of Pianists, Finkelstone is the Emperor of Dry Goods (wyrobów włókienniczych).

Koncerty Paderewskiego stały się, każdy i każdy, wielkimi zdarzeniami dla słuchaczy. Kto go nie słyszał, jak ja słyszałem, w tych latach po 1900, na paryskim koncercie Colonne w ogromnym Châtelet, lub w zamienionym niemal w świątynię Teatrze Lwowskim, nie wyobrazi sobie ani gry ani nastroju zasłuchanej rzeszy ludzkiej. Biegłość biegłością, szkoła szkołą, zdolność zdolnością, ale tu coś niewypowiedzianie osobliwego i jedynego, o czym mieniący się jego uczniem Alfred Cortot mówi, że podziwiał wraz z innymi: „...nie żebyśmy marzyli o naśladowaniu czegoś nie do naśladowania (imiter l'inimitable), lecz dlatego, że on nas wyzwalał z więzi szkoły i szkół (de la contrainte scolaire)."

Tak, może najlepsze będzie określenie, która nic nie mówi, ale i mówi wszystko: on przenosił w inny świat.

MÓWCA

Paderewski, jako mówca, objawił się w r. 1910, naprzód w przemówieniu w Krakowie w lipcu pod pomnikiem grunwaldzkim, a następnie i zwłaszcza w październiku we Lwowie, na zjeździe muzyków polskich, w mowie o Szopenie:

— To nieprawda — mówił — że muzyka jest międzynarodowa. Nauka, z samego tylko rozumu płynąca, tak. Ale sztuka, która idzie z głębi duszy ludzkiej, musi mieć na sobie znamię narodowe. Dusza narodu mówi, gra, śpiewa. Słyszymy ją w Szopenie... Niech tylko zabrzmi Szopen, a Polak jest jak odmieniony... (Tu jakby refrenem mowy stają się słowa „Polak słucha" i Paderewski roztacza obraz tego, co Polak w Szopenie słyszy i co się w duszy jego dzieje)... Bóg nie liczył strun, które rozpiął na harfie duszy polskiej, są liczne i różne i stąd może taka odmienność i rozpiętość naszych porywów... O wielka przeszłości — kończy — która nam dałaś jego, Szopena, bądź błogosławiona...

W mowach jego odezwała się prześliczna polszczyzna, pełna, głęboka bez skazy, co i nic dziwnego, wobec jego nieomylnej wrażliwości na każdy dźwięk, także i słowa mówionego.

Był on wielkim mówcą nie tylko we własnej mowie polskiej, lecz i w innych, francuskiej i angielskiej. Słyszałem go w czasie Konferencji Pokojowej w Paryżu, wiosną r. 1919, na wielkim przyjęciu, kiedy bodaj po raz pierwszy przemawiał do dużego i świetnego zebrania francuskiego, a Francuzi, wpatrzeni weń i wsłuchani, jakby oczarowani świetnością swej mowy w ustach cudzoziemca, gdy skończył, nie posiadali się z zachwytu. W rok z górą później, jesienią r. 1920, gdy przemawiał w pierwszym Zgromadzeniu Ligi Narodów w Genewie, René Viviani, słynny mówca, pochylił się ku swemu sąsiadowi Hanotaux, który to opowiada, i szepnął: Chciałbym tak grać, jak on mówi, ale to znaczyło, że chciałby tak i mówić.

Bywało, że mowy jego po angielsku, w Ameryce w czasie pierwszej wojny, w Londynie po wojnie, gdy podejmowali go dziennikarze w r. 1923, a on bardzo rzeczowym wywodom o Polsce nadawał wyraz przejmujący, sprawiały, że słuchacze wzruszeni do łez, stawali się półbłędni, bo tak tworzył co najtrudniejsze i najpiękniejsze: nastrój.

MĄŻ STANU

Istnieje też Paderewski — nie powiem: polityk, bo to by istoty rzeczy zgoła nie wyrażało — ale chorąży dążeń narodowych i myśli narodowej, który stał się w tej dziedzinie mężem stanu najwyższej miary.

Jak się w nim żywioł sztuki, którego był nie gasnącym ogniskiem, łączył ze zmysłem i umiejętnością polityki, nie pojmie, kto z nim nie zetknął się w rozmowach.

Paderewski zadziwiał mnie swym wykształceniem i swą wiedzą, zwłaszcza w zakresie dziejów naszych i powszechnych, dawnych i nowszych, a gdy go zapytałem, jak mógł przy swej ciągłej twórczości i pracy w innych kręgach także i to wszystko ogarnąć, powiedział mi:

— Z zawodem moim wiązały się podróże i to długie, nie tylko na dni się liczące, jak z jednego brzegu Ameryki na drugi, lecz i na tygodnie, przez oceany, więc w czasie tych podróży dużo czytałem, a szczególnie chętnie dzieła historyczne i pamiętniki.

Jego spostrzeżenia z podróży bywały też barwnie zajmujące:

— Wie Pan — mówił mi — ja nazwę Rusi Czerwonej zrozumiałem, jadąc jesienią pociągiem między Przemyślem a Lwowem. Na wszystkich wzniesieniach i niżej dokoła buki są czerwone tą porą roku. Tak jak na Białej Rusi znowuż białe brzozy.

Ważniejsze bodaj niż wiedza książkowa było jego ogromne obycie życiowe w całym świecie. Gdziekolwiek przybył, poznawał wszędzie ludzi najwybitniejszych i najbardziej zajmujących. Zasięg miał tu większy niż, bez przesady, ktokolwiek inny. A nic bardziej niż takie zetknięcie z ludźmi przodującymi nie kształci i nie daje na przyszłość mocniejszej podstawy i pewniejszej postawy w załatwianiu spraw z osobistościami naczelnymi.

Jako przewódca narodowy wystąpił Paderewski po raz pierwszy, wystawiwszy w Krakowie na 500 rocznicę Grunwaldu pomnik Jagiełły, dłuta Wiwulskiego, ofiarowany miastu, w mowie pod pomnikiem 15 lipca 1910, w której mówił z właściwą mu miarą, godnością i szlachetnością: „...jest to dzieło nie nienawiści, lecz miłości i wdzięczności dla pamięci naszych przodków i miłości Ojczyzny; nie tylko jej minionej wielkości, a niemocy obecnej, lecz także jej przyszłości świetlanej i mocnej..."

Bo ta myśl o przyszłości była najistotniejsza i wiarę w nią pragnął umocnić tym pomnikiem.

Gdy wybuchła wojna w r. 1914, jest w Szwajcarii i współpracuje w dziele pomocy, a głównie przypominaniami światu sprawy Polski, z Sienkiewiczem i Antonim Osuchowskim w Vevey. Już w czasie swego hasła grunwaldzkiego był poglądem ogólnym bliski Dmowskiemu, który w książce z r. 1908 o Niemczech, Rosji i sprawie Polski określił Niemcy jako głównego wroga przed nadchodzącą wielką rozprawą. Więc w początku r. 1915 przez Paryż i Londyn udał się do Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie w porozumieniu z Dmowskim podjął swą bezcenną, jedyną w skuteczności, dziejową donioslością znaczoną, pracę nawoływania o wskrzeszenie Polski.

Wówczas to, w kilkuset mowach, po polsku i po angielsku, wzywał, w swej wspaniałej wymowie, jak np. w Chicago 7 lutego 1916, do wielkiego zebrania amerykańskiego po angielsku:

— Mówcie o Polsce swym przyjaciołom i znajomym. Powiedzcie im, że zdala od waszego bogatego i szczęśliwego kraju jest cały naród w wielkiej niedoli, który cierpi ponad miarę cierpienia ludzkiego. Powiedzcie im, że naród ten, gdy byliście w potrzebie, przysłał wam Kościuszkę i dał wam w ofierze Pułaskiego. Niektórych poglądy wasze przekonają, słowa wstrząsną, głos wzruszy i może zechcą nam dopomóc. Bóg im pobłogosławi, jak i wam samym błogosławić będzie.

Był duszą i dźwignią działalności Polskiego Wydziału Narodowego w Chicago, nie tylko w zbieraniu zasobów pieniężnych na pomoc Polsce, ale także w wystawieniu wojska polskiego z zaciągu w Ameryce, gdy od sierpnia 1917 działał tam jako członek i przedstawiciel Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, któremu przewodniczył Dmowski.

Lecz największą bodaj swą kartę w dziejach Polski napisał wówczas Paderewski postawieniem sprawy polskiej w Stanach Zjednoczonych Ameryki bezpośrednio wobec prezydenta Wilsona, z którym był w styczności i w przyjaźni osobistej, tak jak ją stawiała pierwsza odezwa Paderewskiego i Wydziału Narodowego Polskiego z 26 listopada 1916, w odpowiedzi na obłudny akt dwu cesarzy z 5 listopada 1916, kończąca się słowami:

„Powinna powstać Polska zjednoczona, niepodległa i wolna."

W niespełna półtora miesiąca później, 8 stycznia 1917, płk House, najbliższy współpracownik Wilsona a oddany przyjaciel Paderewskiego (który mu później wystawił na pamiątkę pomnik w Warszawie w ogrodzie za Wisłą), przybył do niego do Gotham Hotel w Nowym Jorku i poprosił go o szkic o sprawie Polski dla Prezydenta. Paderewski pisał przez 36 godzin i płk House zabrał to do Waszyngtonu. W dwa tygodnie później Wilson, przygotowujący już zerwanie stosunków z Niemcami i następnie wypowiedzenie im wojny, w orędziu z 22 stycznia 1917 powiedział o konieczności stworzenia zjednoczonego i niepodległego Państwa Polskiego, co za rok w słynnych 14 warunkach pokoju z 8 stycznia 1918, ujmie jako 13 o Polsce zjednoczonej, niepodległej, z dostępem do morza.

Nie kto inny niż marszałek Foch w swych pamiętnikach powiedział:

— Jeśli Polska zmartwychwstała, zawdzięcza to Paderewskiemu, gdyż bez jego pracy w Ameryce żaden ze Sprzymierzonych nie byłby zdobył się na takie postawienie sprawy polskiej, na Konferencji Pokojowej, jak ją postawił prezydent Wilson.

NA CZELE RZĄDU

Po zawieszeniu broni Paderewski przybywa okrętem wojennym brytyjskim „Concord" w dniu Bożego Narodzenia 1918 do Gdańska. Nazajutrz jest w Poznaniu, co staje się tam hasłem do powstania w Wielkopolsce i przejęcia władzy od Niemców. Stamtąd udaje się do Warszawy, wpada do Krakowa a 16 stycznia 1919 obejmuje przewodnictwo pierwszego ogólno-polskiego i uznanego Rządu Polskiego, stając się uosobieniem zjednoczenia i zgody w Kraju.

Na konferencję pokojową w Paryżu, gdzie Delegacja Polska działała pod przewodnictwem Dmowskiego, przybył Paderewski, prezes ministrów i minister spraw zagranicznych, dwukrotnie, w kwietniu i w czerwcu 1919, gdy rozstrzygały się najtrudniejsze sprawy Gdańska i Śląska.

W kwietniu 1919, zaraz po przybyciu, odwiedził na Quai D'Orsay ministra spraw zagranicznych Pichon'a, który w czasie rozmowy zadzwonił do Clemenceau, że Paderewski chce być u niego. Clemenceau odpowiedział, że za chwilę z pobliskiej rue Saint Dominique będzie na Quai D'Orsay. Że zaś lubił żarty, wszedłszy powiada:

— Panie Prezydencie, czy wielki artysta Paderewski, to Pański krewny?

— To ja sam (rzekł Paderewski, nie psując żartu).

— Co za upadek! (Quelle déchéance!) — zawołał premier francuski wesoło.

Po pierwszym jego pobycie na Konferencji Pokojowej prezydent Wilson żegnał go listem z dnia 24 kwietnia 1919: „Zanim Pan pojedzie, chcę Panu powiedzieć, że Pańskie ujęcie zagadnień, Pańskie śmiałe spojrzenie na stosunki historyczne i narodowościowe w tej części Europy, Pańska skłonność do rozważań raczej szerokich niż ciasnych, wywarły na wszystkich wielkie wrażenie. Imieniem wszystkich mówię, że Pańska postawa natchnęła nas ufnością, iż Polska zajmie należne jej stanowisko i wywrze dobry wpływ na sprawy wolności i postępu ludzkości."

Przewodniczący Komisji Spraw Polskich, ambasador Jules Cambon, powiedział: „Nikt nie mógłby był więcej zrobić w Paryżu niż Paderewski, który nawet gdyby nie był Paderewskim, mógł dużo osiągnąć swymi zdolnościami politycznymi."

Amerykański sekretarz stanu Robert Lansing, w książce wydanej wkrótce po Konferencji Pokojowej, pisze: „Wrażenie moje było i pozostaje takie, że Ignacy Paderewski był jeszcze większym mężem stanu niż muzykiem. Co zrobił dla Polski, będzie podstawą wiecznej wdzięczności."

Wreszcie płk House: „Przybył na Konferencję jako postać niewiadoma politycznie z sali koncertowej. Opuszczał Paryż jako, w pojęciu współuczestników Konferencji Pokojowej, mąż stanu, niezrównany mówca, znawca języków, znający też dzieje Europy lepiej niż ktokolwiek inny."

Dnia 28 czerwca 1919, w sali zwierciadlanej, podpisywano Traktat Wersalski. Gdy przewodniczący Clemenceau, wymienił: La Pologne, a Paderewski i Dmowski przystąpili do stołu, na którym podpisywano, nagle zaczęły grzmieć strzały dział, już teraz, zamiast po skończeniu podpisów, jakby dla uczczenia największego dzieła: wskrzeszenia Polski. Spojrzałem na Clemenceau, który podniósł głowę w górę, zasłuchany w strzały, jak wtedy, gdy 11 listopada 1918 czytał w Izbie Deputowanych warunki zawieszenia broni, nagle zagrały działa, a on przerwał czytanie i rzekł: Bel accompagnement!

W sześć miesięcy po podpisaniu Traktatu Wersalskiego, w grudniu 1919, rząd Paderewskiego upadł, ponieważ dla ówczesnych niektórych dążności w Polsce, wewnętrzno-politycznych i zewnętrzno-politycznych, obecność jego u steru była niedogodna.

Ale Warszawa, niezawodna w odczuciu, żegnała go bezprzykładnie stutysięcznym pochodem na Nowy Rok, przechodzącym w skupieniu, a w uniesieniu na jego widok na balkonie Bristolu, gdzie mu wręczono pismo dziękczynne z dziesiątkami tysięcy podpisów.

1920 — 1941

Gdy woła go służba Polsce, nie zna rozgoryczenia, więc w sierpniu 1920 bronił sprawy Polski w sporze z Czechosłowacją o Śląsk Cieszyński wobec Rady Ambasadorów, zakładając podniosły sprzeciw w imię sprawiedliwości, a we wrześniu 1920 był pierwszym naszym przedstawicielem w Lidze Narodów w Genewie.

Gdy go odwiedziłem na kilka dni w siedzibie jego Riord-Bosson w Morges, w październiku 1922, powiedział mi:

— Trzeba zabrać się znowu do pracy zarobkowej, bo z książęcej niegdyś fortuny są tylko resztki.

Rzeczywiście wszystko szło z hojnością, która zdumiewała tych, co wiedzieli, na potrzeby pracy dla Polski.

W czerwcu 1923 gra znowu Szopena w Paryżu, który mu wtedy ofiarowuje, w Hotel de Ville, księgę złotą ze słowami: „Francja dumna jest, że dała gościnę tym, którzy najpotężniej wyrazili duszę Polski, Szopenowi, Mickiewiczowi, Paderewskiemu, potrójnemu wcieleniu tego samego ducha, tchnącego zaletami i darami narodu pośród wszystkich szlachetnego."

I zaczęły się znowu lata podróży i występów, budzących taki sam jak dawniej podziw, ale męczących, tak że wiosną 1939 zasłabł w czasie gry w Nowym Jorku.

Gdy po wybuchu wojny we wrześniu 1939 jechałem z Kraju do Paryża, wpadłem po drodze do Paderewskiego, aby uzyskać jego odezwanie się do świata już po klęsce w Kraju i nazajutrz mogłem ogłosić w Paryżu odezwę, która szła na cały świat, a w której mówił: „W chwili dziejowej, gdy naród polski składa dowody niezrównanego bohaterstwa... pragnąłbym przed oczyma wszystkich narodów cywilizowanych wznieść wysoko obraz Polski niepokalanej, którą przemoc znowu rozpięła na krzyżu cierpienia..."

Po objęciu steru przez rząd gen. Sikorskiego na obczyźnie Paderewski przyjmuje stanowisko prezesa Rady Narodowej i na otwarcie jej w Paryżu 23 stycznia 1940 mówi: „Polska jest nieśmiertelna. Wyzwolimy ją z pęt niewoli. Tak nam dopomóż Bóg... Walczymy o Polskę całą, jedyną, wielką, niepodległą, o Polskę-Matkę dla swych wiernych dzieci, o taką Polskę, jaką przepowiadali wieszcze, o Polskę, którą krwią swą zrosili obrońcy Warszawy, Helu, Lwowa, o Polskę, za którą poległy tysiące nieznanych bohaterów i dalsze tysiące dać życie gotowe."

Dnia 6 października 1940 wyjechał Paderewski znowu ze Szwajcarii do Ameryki, ocierając się niebezpiecznie o zalew niemiecki we Francji, tam w Ameryki, ocierając się niebezpiecznie o jeszcze 22 czerwca 1941 do uczestników polskich pierwszej wojny mówił: „Gdyście przed ćwierćwieczem ruszali w bój o wolność Polski — (zaczął) — błogosławiłem Wam jako ojciec... I tę wojnę — (kończył) — wygra duch nieśmiertelny."

Ale po tym przemówieniu pod gołym niebem, w Oak Ridge, New Jersey, 81-letni Paderewski zaniemógł i po tygodniu, przeżywszy jeszcze ostatni swój dzień 22 rocznicy podpisania Traktatu Wersalskiego, zmarł 29 czerwca 1941.

Zmarł na posterunku służby Polsce, którą znał tak głęboko i umiłował tak serdecznie w jej tysiącletnich dziejach, którą mu wyśpiewali wieszcze i w dźwiękach wyczarował Szopen, której ból niewoli był bólem jego życia, a której wskrzeszenie i nieśmiertelność były jego życia wiarą i nadzieją.

Stanisław Stroński

---

*) Słowo wstępne na koncercie ku czci Paderewskiego 4. 9. 1953 w dziesięciolecie Związku Artystów Scen Polskich na obczyźnie.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

O powołania kapłańskie. W wielu krajach odczuwa się brak duchownych. Dotyczy to m. in. Chile. Ostatnio biskup tamtejszej diecezji Talca, Manuel Larrain zorganizował tydzień modłów na intencję wzrostu powołań kapłańskich i zakonnych, zaznaczając w swym zwróceniu się do wiernych, że liczy na 100 tysięcy różańców. W czasie tego tygodnia kapłani odwiedzali chorych, by zachęcić ich do ofiarowania swych cierpień na intencję wzrostu powołań.

Konferencja pan-azjatycka studentów katolickich. W Madras odbędzie się w grudniu pierwsza konferencja pan-azjatycka katolickich studentów. Wezmą w niej udział, wedle dotychczasowych zgłoszeń, delegacje studentów z Australii, Malakki, Chin, Indonezji, Cejlonu, Burmy, Pakistanu, Filipin. Zjazd organizuje hinduska federacja studentów uniwersytetów katolickich, afiliowana do ruchu „Pax Romana".

Statua Matki Boskiej w porcie. Kapitanat portu w Dublinie ofiarował miejsce na umieszczenie statuy Matki Boskiej, a wśród pracowników portu i doków zorganizowano zbiórkę na pokrycie kosztów związanych z wystawieniem statuy.

Dyplomata koreański tłumaczem. Jan Chang, były ambasador Korei w Stanach Zjednoczonych, opublikował trzecie wydanie swego tłumaczenia „Wiary naszych ojców" kardynała Gibbonsa. Wielu koreańskich duchownych protestanckich nawróciło się na katolicyzm po przestudiowaniu tej książki w tłumaczeniu Jana Changa.

Katolicki instytut kinematograficzny. Akcja Katolicka w Peru powołała do życia w Limie Katolicki Instytut Kinematograficzny, który ma za zadanie dostarczać nauczycielom katolickim informacyj o produkcji kinematograficznej i literaturze jej dotyczącej.

Radio francuskie w sprawie jedności Kościołów. Na mocy decyzji ministerstwa spraw zagranicznych radio francuskie przyznało ojcom asumpcjonistom w każdą niedzielę 20 minut na transmisje w sprawie jedności Kościołów. Audycje, przeznaczone dla krajów za żelazną kurtyną i krajów Bliskiego i Środkowego Wschodu, głoszone będą w językach tych krajów.

Kongres archeologii biblijnej. Pod przewodnictwem André Parrota, głównego konserwatora muzeum w Luwrze, odbędzie się od 23 do 25 kwietnia I Kongres Archeologii i Orientalistyki Biblijnej; zadaniem kongresu jest przyczynienie się do pogłębienia znajomości warunków, w jakich żyli i pracowali autorzy biblijni.

Światowy kongres pielęgniarek katolickich. Międzynarodowy Komitet Katolickich Pielęgniarek i Asystentek Medyczno-Społecznych (CICIAMS) organizuje V światowy kongres swych organizacyj. Tematem kongresu, który odbędzie się od 7 do 12 września w Quebec w Kanadzie, będzie „Nasz zawód a ewolucja obecnego świata".

POGRZEB KS. BEDNORZA I WYBÓR NASTĘPCY

W dniu 18 stycznia br. odbył się w Katowicach, przezwanych przez komunistów Stalinogrodem, pogrzeb ks. inf. Filipa Bednorza, wikariusza kapitulnego diecezji katowickiej. Ks. Bednorz zmarł w wyniku wypadku samochodowego, który się wydarzył w Bełchu pod Rybnikiem w okolicy Katowic. W pogrzebie, który się odbył w kościele prokatedralnym w Katowicach, wzięło liczny udział duchowieństwo świeckie i zakonne. Poza tym na pogrzeb przybyli licznie przedstawiciele komisji duchownych i świeckich działaczy katolickich z „frontu narodowego" oraz „dyrektor urzędu do spraw wyznań" Antoni Bida.

Żałobną Mszę św. pontyfikalną odprawił ks. infułat Kazimierz Lagosz, wikariusz kapitulny diecezji wrocławskiej. Kazanie wygłosił ks. biskup Zdzisław Goliński, ordynariusz częstochowski, który wskazał na zasługi zmarłego dla Wiary i przedstawił jego życie pełne cierpień i trudności. Zwłoki ks. Bednorza spoczęły w podziemiach jednej z kaplic kościoła prokatedralnego w Katowicach.

W dniu 28 stycznia komunistyczne warszawskie radio ogłosiło wiadomość, jakoby ks. infułat Jan Piskorz wybrany został wikariuszem kapitulnym Katowic i następcą ks. Bednorza. Ks. Piskorz był dotychczas wikariuszem gen. diecezji wrocławskiej. Należy on do grupy czołowych i bardzo czynnych księży-patriotów. Za współpracę z reżymem warszawskim otrzymał w lipcu 1953 roku kawalerski krzyż Orderu Odrodzenia Polski. Ponadto był on przewodniczącym Komisji Księży Frontu Narodowego oraz działaczem wielu innych pro-komunistycznych organizacji tak zwanych postępowych katolików. Szczegóły i okoliczności jego wyboru na wikariusza kapitulnego Katowic nie są znane. (IC)

KS. STANISŁAW BEŁCH

NA NOWY ROK

(Kazanie w Brompton Oratory 4 stycznia 1954)

Panie Prezydencie, Drodzy Bracia i Siostry w Chrystusie!

I znowu jesteśmy tu, by w Imię Jezusa zacząć życie w roku nowym. I znowu stajemy przed ołtarzem, by, za pośrednictwem Chrystusowego kapłana, złożyć Bogu Ojcu Bezkrwawą Ofiarę Krzyża: ofiarę uwielbienia, dziękczynienia, przebłagania i prośby.

Ofiarę uwielbienia. Chcemy i winniśmy Boga uznać panem, królem, rządcą i prawodawcą naszym. I składamy Mu, jako wyraz tego uznania, Chrystusa Eucharystycznego, wraz z gotowością życia dla Boga, według praw Boskich, praw rozumnej natury ludzkiej i praw objawionych przez Chrystusa a nauczanych przez Kościół Boży.

Ofiarę dziękczynienia. Bóg daje nam obfitość łask, światła i mocy, byśmy w tym życiu, które ułomność lub złość ludzka czyni ciężkim, mieli skierowaną myśl, wolę i czyny ku celowi, dla jakiego jesteśmy stworzeni. Może z tych łask nie korzystaliśmy w pełni, może nie korzystaliśmy z nich wcale, może gardziliśmy duchowymi skarbami Boskiej dobroci, może głuche było nasze serce na ciche wołanie Boga, może twardzi byliśmy na słodkie wezwanie, ale dziękować za to wszystko trzeba, bo niewdzięczność jest rzeczą i głupią i nieludzką. I, mówiąc o wdzięczności, pamiętać nam trzeba, że nawet zdarzenia przykrę, choć z jednej strony sprawiają ból duszy i są pewnym złem, to jednak, z drugiej strony, mogą i powinny być sposobnością i przyczyną wielkiego dobra duchowego, jeśli mianowicie człowiek umie i chce je należycie przyjąć, znieść i wykorzystać.

W każdym zaś razie nikt nie ma uzasadnionego powodu do zniechęcania się: do siebie jako człowieka i jako chrześcijanina, do Boga, do Kościoła, do Ojczyzny i do bliźnich. Tak zwane gorycze życia są potrzebne, by nas wypróbować, ćwiczyć, uczyć (zwłaszcza pokory i mądrości) i dać sposobność do zasługi i zadośćuczynienia. Dziękujmy więc Bogu, podnośmy serca w górę, podnośmy wysoko, nie dajmy się zgnębić i złamać, zachowujmy godność, ludzką, chrześcijańską i polską; jest to bowiem postawa gadniejsza niż narzekanie, niż upadlanie się, niż beznadziejność, niż padanie w oportunizm i zwierzęcą łatwiznę życia zmysłowego. I powtarzajmy sobie w okolicznościach ciężkich za cierpliwym Hiobem: „By mię też zabił, w Nim ufać będę"; oraz za Psalmistą: „W Bogu moim przejdę i tę przeszkodę" („Et in Deo meo transgrediar murum") — przeskoczę mur przeciwności, kolców, dolegliwości, zawodów i goryczy życiowych. Sursum corda! Ufajmy Bogu! Dziękujmy Mu za wszystko!

A spozierając na rok ubiegły mamy za co dziękować. Jakoś już każdy urządził się. Parafie polskie skupiają ludzi dla chwały Bożej i wzrostu dusz. Mamy mnóstwo, więcej niż powszechnie się uważa, dusz cichych, świętych, bohaterskich. Mamy mnóstwo dusz walczących ze sobą, z Boską pomocą borykających się z tyranią zmysłów, wyrywających się z tyranii ogłupiającego otoczenia i dążących do doskonałości. Mamy coraz więcej młodych dobrych małżeństw, kochających swe dzieci i dbałych o ich ludzkie, katolickie i polskie wychowanie. A nowe zastępy młodzieży jak młody las radują serce swą skromnością, pokorą, pracowitością i chęcią. Radują nas też coraz powiększające się szeregi młodych powołań kapłańskich i zakonnych: chłopcy i dziewczęta z miłości Boga poświęcają z zapałem swe życie dla Jego sprawy. Wstępują do polskich seminariów i nowicjatów zakonnych, by przejść konieczne studia i wrócić do swoich, by podjąć pracę wśród uchodźstwa, które ich tak bardzo potrzebuje. Wielu zastarzałych grzeszników wraca do Boga. Ludzie, którzy lekkomyślnie weszli w pożycie z kobietą poza Bogiem i Jego Kościołem, wracają, i, jak na katolików przystało, porządkują swe małżeńskie życie. Radością napełnia fakt, że mamy już nareszcie dwie pełne szkoły katolickie prowadzone przez księży i siostry zakonne: dla dziewcząt polskich szkoła sióstr nazaretanek w Pitsford, a dla chłopców szkoła księży marianów. Być w tych szkołach i widzieć te wesołe gromady dziewcząt i chłopców, uczących się pod dobrą opieką na ludzi przyszłości, napełnia otuchą i rozszerza serce nadzieją i właściwą dumą. Należy tylko starać się, by coraz więcej i więcej dzieci naszych tam szło, by coraz więcej i więcej Polacy rozumieli ważność tych dwu szkół i popierali je. Należy też dziękować Bogu za coraz to lepiej rozwijającą się katolicką prasę na uchodźstwie, posyłającą w świat mnóstwo polskich katolickich pism i książek.

Składamy ofiarę uwielbienia i dziękczynienia, ale też i **p r z e b ł a g a n i a**: przebłagania za grzechy nasze osobiste i grzechy innych. Jest wiele wśród nas dobra, ale i wiele zła. Dużo jeszcze obojętności i ignorancji religijnej i dużo moralnego brudu. Wy, obecni w tej świątyni, i ci, co uczęszczają na Mszę świętą, modlą się i starają, by wieść życie godne, dobrze wiecie, że są, niestety, jednostki słabe, odpadające od Boga, od Kościoła, od polskości. Dusze to godne współczucia, ale ich postępowanie złe obraża Boga i szkodzi godności Polaka. Dziś, wśród tylu strat, tylko godność osobista, tylko moc charakteru nam została jako wartość i o tę dbać trzeba; a tych, co to zdradzają, co odpadają, co upadlają się, winniśmy ratować, perswadując, napominając, piętnując, z miłością, ale i z mocą. Niczego nie wolno zaniedbywać, niczego nie zlekceważyć, bo skutki zaniedbań będą gorzkie.

Oprócz osobistej, wewnętrznej, niewierności dla łaski Bożej; oprócz obojętności dla sprawy Bożej; oprócz duchowego i umysłowego lenistwa i głupoty; oprócz wypadków świadomej złej woli w stosunkach z bliźnimi, mamy wiele grzechów życia zbiorowego. Obok zazdrości, wyzysku, wywyższania się nad drugich, głupiego nieraz i śmiesznego koguciego wprost nadęcia, mamy niezgodę grup społecznych; mamy niemoralne, histeryczne i złośliwe występy w prasie i widowiskach; mamy za dużo patriotyzmu deklamowanego, któremu przeczy życie; i, wreszcie, jest brak, zwłaszcza u przywódców, zrozumienia dobra Polski i Kościoła. Czyż nie jest zbrodnią czy głupotą brak dotąd jedności politycznej uchodźstwa? Pamiętacie, jak rok temu pięknie ta jedność się zapowiadała? A dziś, cóż? Rok mija, a upragnionej jedności nie widać! Co gorsza, zda się ona być dalej niż rok temu. Czyż wy, tu zebrani, czyż wszyscy Polacy, którzy dziś i w każde święto zapełniają świątynię, nie czują się jednością? Ta sama krew, mowa, ból, pragnienia, wola; te same: wiara, nadzieja i miłość! I cóż was dzieli, gdy wyjdziecie z Kościoła? Czy coś ważniejszego niż to, co was łączy? Czy, gdy wyjdziecie ze świątyni Pańskiej, przestajecie być sobą? Czy stajecie się innymi już ludźmi? Czy niwelująca i tyranizująca opinia środowisk partyjnych musi was pozbawiać jedności hasłami nic już dziś wartymi? Wielką tu odpowiedzialność ponoszą ludzie mający wpływ na formowanie opinii publicznej uchodźstwa. I dają się już słyszeć głosy, że podnieść się winien katolicki lud polski uchodźstwa, zjednoczyć się i wyłonić spośród siebie nowych przewódców, wolnych od zastarzałych zawiści i uporów przy głupstwach, wolnych od wpływów klik, zdolnych zjednoczyć wolę i pokierować wysiłkiem ogółu. Czy głosy te są słuszne? Bóg raczy wiedzieć! Ale nie wydaje się być bez racji to, że grzechy przywódców są wynikiem wad ogółu, zwłaszcza grzechy obojętności, bierności i zaniedbania. A cóż powiedzieć o łatwowierności?

Jest więc za co Boga przepraszać. Przepraszajmy Go więc dziś mówiąc z głębi przekonania:

Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy,
A karanie, które za nie odbieramy, przyrównywamy:
Jeżeli uważamy na złości, któreśmy popełnili,
Mniej daleko cierpimy, niżeśmy zasłużyli.
Karę za grzechy dobrze czujemy,
A przecież grzeszyć poprzestać nie chcemy.
Umysł utrapieniem srodze ściśniony,
A upór w złem trwa nic nie poruszony.
Życie w uciskach prawie ustaje,
Złych jednak nałogów swoich nie poprzestaje.
Wyznawamy z płaczem w karaniu, czegośmy się dopuścili,
A po nawiedzeniu zapominamy, czegośmy dopiero płakali.
Gdy miecz Twój na nas podniesiony trzymasz, siłać obiecujemy,
A skoro go spuścisz, obietnic wykonać nie chcemy.
Kiedy nas karzesz, prosimy Cię, abyś się zmiłował,
A gdy przestaniesz, pobudzamy Cię znowu, abyś nam nie folgował.

◆

O jednym grzechu jeszcze wspomnieć nam trzeba, choć obrzydzenie bierze o nim mówić. Jest to dość częsty grzech rozpusty i spędzania płodu. Są potwory niegodne szlachetnego miana lekarza, którzy dla zysku mordują nienarodzone dzieci; i są wyrodne matki i źli doradcy i pomocnicy, którzy drwią z Boga i z praw natury i ściągają na siebie i na naród straszny Jego gniew i słuszne karanie. Jeżeli zabijał i niszczył nas wróg, nie zabijajmy się my sami! Są bardzo liczne małżeństwa godne pochwały. Dla nich przywileje małżeńskie są zrozumiałe: ich celem jest potomstwo. Ich małżeństwo jest godne i zgodne z prawem natury. Żyją jako małżonkowie według praw rozumnej natury ludzkiej i z ufnością w Opatrzność rodzą i wychowują dzieci: Polaków i chrześcijan, z których każdy będzie kiedyś potrzebny i będzie dla nich pociechą. Rozumieją, że w pożyciu małżeńskim obowiązuje powściągliwość i etyczne planowanie. Ale też dużo jest małżonków samolubnych, wygodnych, chcących zażywać rozkoszy bez zobowiązań i ciężarów; łamią oni prawo natury pod różnymi pozorami, np. ekonomicznymi, zapominając, że pogwałcona natura mści się już w tym życiu, nawet rozstrojem nerwów i szaleństwem. Praw regulujących życie nie stworzył Kościół czy księża, lecz sam Stwórca natury. A z Bogiem żartów nie ma. Bóg drwić ze siebie nie pozwoli. Czas już usunąć przerażające nieporozumienia w dziedzinie życia płciowego. Za często też słyszy się skargi dziewcząt polskich pod adresem naszych mężczyzn, że zbyt brutalnie wyzyskują naiwność dziewcząt i nie dopełniają obietnic. Zaś nasi młodzi mężczyźni nie bez pewnej słuszności skarżą się, że nasze dziewczęta cechuje ekstrawagancja w ubiorze i sposobie noszenia się, co rokuje z nich żony zbyt kosztowne oraz że nie przygotowują się poważnie do życia małżeńskiego, wnosząc w nie rozkapryszenie i nieustępliwość. Skargi te obie strony winny rozważyć i dokonać zmian na lepsze.

Tak więc trzeba nam modlić się:
Oto nas masz korzących się Tobie,
Wszechmogący Boże,
Wiemy, iż, jeżeli miłosierdzie nie odpuści, sprawiedliwość słusznie
nas zagubić może.

◆

Składamy też dziś ofiarę **błagalną**. Naczelnym, wszystkich nas łączącym, uczuciem wołajmy:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę wolną, racz nam wrócić,
Panie.

Tak, ale błagajmy Boga, by nas tak zmienił, byśmy czynili wszystko, co tę wolność sprowadza, przyśpiesza, na nią zasługuje a nic, co ją oddala. Prośmy, byśmy chcieli, byśmy umieli, mieć tę Polskę. Byśmy jej byli godni i byśmy umieli, da Bóg, ją mieć i do niej wrócić, urządzić ją i w niej się rządzić. Błagajmy więc o wyzwolenie się z wad, każdy ze swoich: z wad znanych nam jako siedem grzechów głównych, od pychy zacząwszy a skończywszy na lenistwie. I błagajmy Go o mądrość, sprawiedliwość i uczciwość; o niezłomne chrześcijańskie męstwo i ludzki umiar i powściągliwość. Prośmy o wytrwanie w wierze dla prześladowanych i dla nas samych, byśmy dobrowolnie nie rozłożyli się jak trupy i nie zmarnieli. Prośmy o wiarę, która góry przenosi, i o miłość, która życiem kieruje, i o nadzieję, która w niebo z ziemi patrzy i z ziemi do nieba zanosi. Prośmy, byśmy jednością byli. Prośmy o odrodzenie naszego życia publicznego. Z przywódców naszych nie drwijmy, ale prośmy Boga, by byli mądrzy i Boga się bojący.

◆

Na koniec weźmy sobie do serca następujące wskazania, które wypada nam wykonać w roku bieżącym:

1. Nie chcieć grzeszyć; chcieć żyć w przyjaźni z Bogiem.

2. Zaczynać i kończyć dzień od Boga i z Bogiem — i o Bogu pamiętać w decyzjach.

3. W tym roku winniśmy pomóc siostrom nazaretankom rozbudować ich Zakład dla dziewcząt. Zgłasza się ich tam wiele, a brak miejsca; trzeba coś dobudować, a korzyść odniesie setki polskich córek. Grosz do grosza, a stworzy i rozwinie się dzieło wychowujące przyszłość.

4. W tym roku powinno dojść do politycznego zjednoczenia uchodźstwa, bo tego domaga się moralność. W ludzie złożył Bóg źródło władzy i z niego mają wyjść jej piastunowie. Niechże podniesie się ten polski lud „jako lew" (według słów Proroka) i niech zmusi przywódców partyjnych albo do jedności albo do ustąpienia. Jeżeli zaś tego nie zrobią, zajdzie konieczność wypracowania reprezentacji Polonii poza dotychczasowymi formami organizacji politycznej uchodźstwa. Przywódcy polityczni popełniają swoim dotychczas postępowaniem grzech wołający o pomstę do nieba, albowiem zatracają wielką sprawę i gorszą maluczkich.

5. W tym roku specjalnie zwracać się trzeba do pokolenia młodego, by nie zrażało się tym, co dzieje się, a co więcej, by nie dawało się wciągać w histeryczny wir produkujący zamęt. Źle byłoby, gdyby młodzież, żyjąca w stanie zniechęcenia do przywódców, oddawała się przesadnie zabawom, buntom i zrywom; gdyby zniechęcała się do starszego pokolenia w ogóle i zamykała się w sobie lub odpadała od polskości. Bo wtedy lekarstwo byłoby gorsze od choroby. Młodzi przyjaciele: mniej potępiajcie, a więcej uczcie się, wychowujcie się, przygotowujcie się! Jeśli tego bowiem robić nie zechcecie, z biegiem czasu automatycznie popadniecie w te same albo w gorsze wady i ślepoty. Nie bierzcie sobie na przewodników tych, co wam schlebiają; pamiętajcie, że gdy ślepy ślepego prowadzi — obaj w dół wpadną.

6. I wreszcie punkt ostatni. Ponad codzienną małość, ponad gorycze i czynniki gnębiące, duch nasz, rozumem i miłością mocny, niech wznosi się ku powinności. Rok ten, Rok Maryjny, niech podniesie nas ku Maryi, Królowej Polski, i skłoni nas do brania od Matki Jezusa natchnień i wskazań. Zerwać nam trzeba z egocentryzmem i ciasnotą samolubstwa i rwać się ku poszerzeniu serc i umysłów. Wydobywać z ciasnych i stęchłych nizin życia mało wartego ku wzgórzom wiekuistym, na których słońce Panny Mądrej rozgrzeje nas i umożliwi powrót tej dawnej polskiej wspaniałości i wielkości ducha, która umie przezwyciężać sobkowstwo dla tego, co wyższe. Maryjo, Królowo Korony Polskiej, módl się za nami. Amen.

Ks. Stanisław Bełch

POKOJOWE ZASTOSOWANIE ENERGII ATOMOWEJ

PO DZIESIĘCIU LATACH. Minęło przeszło dziesięć lat od chwili, kiedy uczeni atomowi w Stanach Zjednoczonych otrzymali od Enrico Fermi'ego w Chicago następujące zawiadomienie: „Żeglarz włoski wylądował. Tubylcy są przyjaźni." W tych dwóch szyfrowanych zdaniach Fermi zakomunikował swym kolegom z odcieniem dumy narodowej, że zespół jego wytworzył pierwszy czynny stos atomowy. Chwilę tę przypomina J. Bronowski na łamach „Observera" z dnia 31 stycznia, dodając, że niedługo potem ilość materiału atomowego była wystarczająca, by wyprodukować trzy bomby, spośród których dwie położyły kres wojskowemu oporowi Japonii.

Od tego czasu ustawicznie pojawiało się pytanie, kiedy energia atomowa będzie mogła być używana dla celów pokojowych. Z reguły padała odpowiedź, że nastąpi to prawdopodobnie po jakichś dziesięciu latach. Termin ten sprawdził się ze zdumiewającą dokładnością.

Rok ubiegły przyniósł w tym zakresie rozstrzygające wydarzenia— stwierdza Bronowski. — Brytyjskie czynniki oficjalne ujawniły, że Wielka Brytania wytwarza obecnie materiał atomowy w „tempie przemysłowym". Przystępuje się do budowy wielkiego generatora, którego siłą pędną będzie stos nowego typu, zużywający swe zaoszczędzone neutrony na wytwarzanie rozpadających się atomów — wytwarzanie równie szybkie, jak ich rozpad. Od dawna już uczeni głowili się nad tym, jak równocześnie uzyskiwać siłę z rozpadu atomów i wytwarzać świeże paliwo atomowe. Udało się tego dokonać i w Ameryce i w Wielkiej Brytanii. Równocześnie budowane są zarówno w Anglii, jak w Ameryce, Kanadzie, Francji i Rosji stosy atomowe prostszego rodzaju, wytwarzające tylko siłę i nic więcej. Takim właśnie stosem atomowym poruszana jest amerykańska łódź podwodna „Nautilus" (nazwa wzięta z powieści J. Verne'a), którą właśnie spuszczono na morze.

Postępy te osiągnięte zostały za cenę fantastycznych nakładów pieniężnych. Wytworzenie w r. 1945 pierwszej bomby atomowej kosztowało — łącznie z dwoma zakładami, które ją wyprodukowały — około 500 milionów funtów szterlingów. Ogłoszony świeżo raport oficjalny brytyjski („Britain's Atomic Factories", H. M. Stationery Office, cena 5 sh.) nie porusza zagadnienia kosztów. Natomiast wiele szczegółów na ten temat daje Gordon Dean, ustępujący właśnie prezes amerykańskiej Komisji Energii Atomowej w swym sprawozdaniu, opublikowanym osobno także w Londynie („Report on the Atom", Eyre and Spottiswoode, cena 16 sh.).

W Ameryce — jak dowiadujemy się z tego sprawozdania — rozszerzono stare zakłady atomowe i zbudowano trzy nowe. Istnieje obecnie co najmniej dwadzieścia stosów dla różnego użytku; niektóre z nich mogą wytwarzać szczególnie ciężki wodór dla bomb. Wszystko razem kosztowało prawie 2 miliardy funtów, a suma ta, z chwilą ukończenia będących w toku prac, dojdzie do 3 miliardów. Jest to prawie tyle, ile wynosi cały roczny budżet Wielkiej Brytanii.

Przez trzy lata urzędowania p. Deana nad pracami Komisji dominowało dążenie do wytwarzania nowych broni: atomowych pocisków różnego rodzaju do użytku na placu boju oraz bomby wodorowej. Od lata zeszłego roku atmosfera w tym zakresie zmieniła się zupełnie. Komisja nie traktuje już zagadnienia energii atomowej jako produktu ubocznego przy wytwarzaniu broni. Obecnie nacisk kładziony jest na zastosowanie energii atomowej dla celów mniej groźnych i morderczych. W Wielkiej Brytanii — podkreśla Bronowski — do celu tego zmierza się od dawna. Od początku np. kładziono nacisk na wytwarzanie radioaktywnych izotopów dla medycznego użytku całego świata.

Zastosowanie energii atomowej do celów przemysłu, zdaniem Bronowskiego, otworzyłoby przed Wielką Brytanią bardzo szerokie horyzonty.

CZY NIE ZA PÓŹNO NA MILLENIUM?

Chrześcijańskie dzieje Polski zwykliśmy zaczynać od dwóch przez dobre źródła historyczne przekazanych nam dat: „965. Dubrovka venit ad Miskonem" oraz: „966. Mysko dux baptisatur". Urzeczeni tymi datami, nie możemy sobie wyobrazić, żeby mogło się czy u nas, czy u obcych znaleźć źródło, które by tamte mogło wyprzedzić treścią i było w stanie obalić obie zakorzenione w naszych umysłach daty. A jednak tak jest. Ostatni numer **„Przeglądu Zachodniego"** (nr. 9/10, za wrzesień-październik 1953) przynosi artykuł prof. J. Widajewicza, niestrudzonego badacza pierwotnej epoki piastowskiej, który musiał zakłócić sen tylu badaczom milenijnym w Kraju. Chodzi o „Żywot błogosławionej Włodzisławy-Adelajdy, księżniczki polskiej, pani Węgier", której z nowszych A. Brückner i ks. P. David odmawiali istnienia i zalecali skreślenie jej z genealogii Piastów O. Balzera. Tym większa niespodzianka po odnalezieniu źródła.

O istnieniu tego źródła miano już pewne wieści przed I wojną. Mianowicie student Uniwersytetu Jagiellońskiego J. S. Pietrzak odnalazł w aktach parafialnych kościoła w Budzisławiu Kościelnym (pow. słupecki) „Rejestr (synopis) życia świętych Stojsława Benedykta Budzisławskiego, pustelnika, męczennika, towarzysza św. Świrada Jędrzeja, wyznawcy, cudotwórcy". Na podstawie tego zabytku L. Pierzchała ogłosił rozprawkę o tych najstarszych świętych polskich, ale ją W. Semkowicz odsądził od wartości naukowej. To było może powodem uprzedzenia a dalej i trudności wydania źródła. Stała się przez to szkoda, bo w czasie wojny księgi budzisławskie zaginęły, tak że dziś rozporządzamy tylko przekładem, sporządzonym wspólnie przez odkrywcę i plebana tamtejszego, ks. Marcina Makowskiego.

Po wojnie zajął się zabytkiem prof. J. Widajewicz i ku swojemu zdziwieniu znalazł obok omawianego żywota świętych polskich wspomniany żywot Adelajdy.

Oto kilka wyjątków z tego ostatniego:

„Błogosławiona Włodzisława Adelajda urodziła się córką Ziemomysła, księcia Polski, jeszcze poganina, i Świętosławy Anastazji, żony jego, już chrześcijanki, a to na dwa lata przed śmiercią Marinusa Papieża najświętszego urodziła się ona. Urodziwa, mądra i świątobliwa od młodości aż do późnej starości Chrystusa Jezusa Pana naszego kochająca a przez kapłana Antoniego ochrzczona Włodzisława Adelajda, czemu się nie przeciwił ojciec, książę chrześcijaństwu życzliwy. Ta gdy dorosła, wiele panien Chrystusowi pozyskała. Gdy zaślubioną księciu Gejzie była, jako masz niżej, dwadzieścia lat i więcej starszy był od niej węgierski książę, poganin, czego się bardzo sromała. Posłuszna jednak woli Bożej, objawionej jej przez świątobliwych pustelników Stojsława i Świrada, do obcej onej ziemi, która przed wielu laty obca dla nas nie była, ale zagarnięta przez węgierskich przodków, jechała. Nie pierwej jednak, aż się pokłoniła cudami słynącemu obrazowi Przenajświętszej, Przeczystej i Wniebowziętej Bogurodzicy, w starym onymże Budzisławiu, gdy na drogę błogosławieństwo brała od kapłanów wraz z otaczającymi ją pannami imieniem Dzierżysława, Stojsława i Budzisława. Te szlachetne dziewice krwią i powinowactwem, życiem też chrześcijańskim zalecone, bo z rodzin dawno Bogu prawdziwemu służących wybrane, do ziemi Gejzy z Włodzisławą i kapłany jechały, aby w służbie bożej księżniczkę wspomnianą wspomagać. Jakoż wypełniły one pobożne nadzieje Adelajdy i pustelników-książąt z nią w oną całkowicie jeszcze pogańską krainę idących...".

Następuje potem opis jej życia na dworze węgierskim, jej zabiegów nad nawróceniem Węgier, które „tylko raz jeden opuściła, jadąc do Polski, ojczyzny swej, dla nawiedzenia grobu św. Wojciecha i Przeczystej Dziewicy, słynącej w Budzisławiu, młodości też swej pamiątek nawiedzając. Umarła zaś mając lat 78 w samo święto Wniebowziętej Przeczystej Bogurodzicy, w południe, z wielkim płaczem syna swego Stefana i książąt i węgierskiego ludu, tudzież żalu w Polsce... A cnoty jej wybitne były: wielka wiara, ufność w Bogu, miłość Boga i bliźnich, sprawiedliwość, miłosierdzie, roztropność, męstwo, czystość stanu bez skaz, pobożność, umartwienie ciała i z nikim w naszym wieku nie porównana, a osobliwie w niewieście, gorliwość apostolska w szerzeniu wiary świętej w pogańskim kraju onym węgierskim, zanim została księżną jego Adelajda. Nie mniej naszych Świrada i Stojsława z Wojciechem i naszymi męczennikami, za którymi żyje w niebie, ta księżniczka i Pani Węgier — Amen. Żyła ona za panowania szesnastu papieży."

Tyle Żywot. Prof. Widajewicz rozróżnia w nim rzeczy dotychczas nieznane i takie, które znane nam wiadomości umacniają. Ponieważ żyjemy w okresie przygotowań do Millenium, obchodzą nas wieści odnośnie chrystianizacji Polski przed tradycyjnym rokiem 966, rokiem chrztu Mieszka I. Wiadomości te są liczne i ważne. Najważniejszą jest ta, że matka Mieszka I, żona Ziemomysła, mianowicie Świętosława Anastazja była już chrześcijanką. Ponieważ Adelajda urodziła się na dwa lata przed śmiercią papieża Marinusa (942-6), a zatem w roku 944, chrzest Anastazji musiał się odbyć conajmniej przed tym rokiem. Jeśli tedy nasz Żywot wytrzyma próbę krytyki, nie będziemy mogli z pełną ścisłością mówić o roku 966 jako Millenium Polski.

W każdym razie ta jedna wiadomość, o innych nie mówiąc, stawia początki chrześcijaństwa w Polsce w zupełnie nowym świetle.

L. K.

J. A. MARYAŃSKI

„DO PIĘĆ PO DWUNASTEJ"

Przed kilku tygodniami wszedł na ekrany kin zachodnio-niemieckich film pod powyższym tytułem. Film, którego gwiazdorem nr 1 jest Adolf Hitler.

Film ten z wielu względów zasługuje na uwagę i omówienie. Jest to bowiem film-dokument, wyprodukowany przez samych Niemców na podstawie dokumentarnych zdjęć tygodników filmowych amerykańskich, angielskich, sowieckich, japońskich oraz niemieckich. Wiele zdjęć, tej ostatniej zwłaszcza produkcji, ujrzało światło dzienne po raz pierwszy dopiero w tym właśnie filmie.

Prasa zachodnio-europejska podała doniesienia o tym filmie na długo przed jego premierą. Brzmiały one dość sensacyjnie. Film miał rzekomo być gloryfikacją smutnej pamięci Adolfa i wobec tego rząd w Bonn, powodowany troską o głosy opinii świata, postanowił nie dopuścić do publikacji tego nowego dowodu odrastania łba nazistowskiej hydry. Przecież niedawne, zgoła prowokacyjne wystąpienia b. wojskowych w rodzaju gen. Ramcke czy głośna afera tzw. „kręgu Naumanna", goebelsowskiego dygnitarza, który począł montować „siatkę" z byłych „brunatnych koszul" — wszystko to narobiło dość złej krwi za granicą. Stąd wielotygodniowe dyskusje nad filmem, badania przeróżnych ekspertów, wreszcie min. spraw wewnętrznych Schröder nałożył pieczęcie cenzury na od dawna gotowy film. Sprawa urosła do rozmiarów problemu konstytucyjnego — odezwały się liczne głosy obrońców wolności przekonań i słowa. Ostatnim aktem wielkiej afery był... seans filmowy dla członków rządu i parlamentu. Wreszcie ojcowie narodu zadecydowali: film nie zawiera tendencji, które by usprawiedliwiały zakaz jego wyświetlania.

Wszystko to wytworzyło koło filmu legendę, podnieciło ciekawość ludzką — film wszedł na ekrany po idealnej reklamie i od tygodni robi kasę.

Nic dziwnego, że po tym wszystkim widz szuka w filmie w pierwszym rzędzie owych spornych kwestii, nastawia się na wyławianie momentów gloryfikacji Hitlera. I tu następuje rozczarowanie: z gloryfikacji ani śladu! Wobec tego istniały zapewne jakieś inne motywy, które wywołały burzę koło filmu i sprawiły, że polityczni leaderzy Niemiec Zachodnich uznali film za niewygodny, czy nawet niebezpieczny? Tak, istotnie, „gloryfikacja" była pretekstem. Ale o tym poniżej.

Założeniem filmu jest przedstawić martyrologię ostatnich pokoleń niemieckich, wpędzanych w nieszczęścia przez władców. Zdaniem autorów komentarza, źródła dramatu ostatniej wojny tkwią w odległej przeszłości, jeszcze przed pierwszą wojną światową. Wilhelm II, mieniący się być „cesarzem pokoju", robił wszystko, by przygotować wojnę. Wybuch jej poprzedziły z ducha „przyjaźni" płynące spotkania z carem Mikołajem II. Powtarza się historia: w następnym pokoleniu „przyjaźń" ta w wydaniu Mołotow-Ribbentrop stała u kolebki drugiej katastrofy... W wyniku pierwszej wojny — klęska, mogiły i krzyże oraz hasło „Nie wieder Krieg!" (Nigdy więcej wojny!). I dziś rozbrzmiewa ono nie mniej silnie. Wysiłki polityków weimarskich zmierzały do utrzymania ładu wewnętrznego i odbudowania pozycji Niemiec w świecie; Friedrich Ebert i Gustav Stresemann „umarli za wojnę", mówi komentarz, a Walter Rathenau został zamordowany. Rośnie chaos, spotęgowany następnie przez kryzys gospodarczy. 36 partii politycznych — dwie z nich walczą o panowanie nad nastrojem ulicy — dwa niby to różne krańcowo bieguny, brunatny z prawa i czerwony z lewa, a tak zbliżone metodami działania i programem pozbawienia człowieka wolności. Zwycięża Hitler, który w porę utrafił w sedno niemieckiego gustu: uformował swych zwolenników w drużyny szturmowe, dał im mundury, szlify i odznaki, biesiadę stałych „Parademarsch'ów", bataliony robocze wywijające łopatą, jak karabinem, a przewracające w głowach hasło „uber alles!" podbudował wcale nie nową teorią panowania nad światem, popartą „filozofią" rozenbergowskiego rasizmu.

Jakże więc wygląda w filmie ten główny aktor, zły duch dziejów Niemiec ostatniego 20-lecia, inspirator i realizator ich klęski? Jako główne nasuwa się spostrzeżenie, że wszystkie pokazane fragmenty z działalności i życia Hitlera wydają się być dobrane z pewną tendencją. Oto każde jego wystąpienie wywołuje u widza odrazę, politowanie albo śmiech. Przemawia on do zahypnotyzowanych tłumów z jakąś patologiczną furią, wśród białożeńskich gestów i min, sprawiając zawsze wrażenie niewątpliwego szarlatanstwa oraz grozy, ale dziwnej jakiejś, niepoważnej, operetkowej. To znów, w prywatniejszych momentach, przybiera postać jakiegoś podskakiewicza, subiekcika czy kukiełki. Salwę śmiechu widzów (o ich innych reakcjach powiem niżej) wywołują jego niepoważne podrygi na tarasie słynnego „Erholungsheimu" w Berchtesgaden, gdzie u boku osławionej Ewy Braun czasem bywał „normalnym" człowiekiem. Sporo zdjęć, z serii tych właśnie dotąd nieprodukowanych, poświęcono tej nieciekawej, lecz od lat stanowiącej żer dla łowców taniej sensacji, Ewie. Autorzy poświęcają jej wiele słów współczucia, nawet litości. To, typowo niemieckiej urody dziewczę-blond, obfitych kształtów, „razowe", najczęściej zresztą pokazywane w kostiumie kąpielowym, jakby dla podkreślenia specjalnej misji w życiu Führera, nie wydaje się na filmie aż tak niezadowolone z losu, ani też aż tak nieszczęśliwe, mimo iż w 16 roku życia zostało odkomenderowane do tego „wyższego zadania". I to nawet mimo iż — jak głosi komentarz — Adolf mówił do Ewy „per ty" tylko wtedy, gdy w willi nie było obcych, a gdy miał gości, wówczas zdawał się zupełnie zapominać o jej istnieniu.

Film podkreśla tchórzostwo Hitlera i wielu z jego kliki (podobnie rzecz miała się z kliką japońską). Mimo beznadziejności położenia na frontach przedłużali oni walkę aż „do 5 po 12-tej", byle tylko odsunąć od siebie widmo odpowiedzialności, trybunału, śmierci. Kukiełki kończyły w stylu jasełkowego Heroda, żebrzącego u Kostuchy przedłużenia żywota choć na dzień, na godzinę, choćby na chwilę. Co tchórzliwsi i ci, co mieli okazję — a więc Hitler, Goebbels, Himmler skończyli nędzną śmiercią samobójców.

W takiej to postaci staje Hitler przed oczyma widza. Filmowemu ujęciu fragmentów, ich zestawieniu można by zarzucić niewątpliwą przesadę czy jednostronnie podaną groteskowość. Zaciera to istotę zagadnienia i nie oddaje prawdy historycznej. Nie pokazuje też, jak się to stało, że 60-milionowy naród poszedł w olbrzymiej większości za głosem i gestem szarlatana.

Dlaczego w takim razie film ten jest tak niewygodny dla kierowników polityki niemieckiej, dlaczego nie zezwolono na jego eksport, a tyle oporów poprzedziło pokazanie go na rynku wewnętrznym?

Odpowiedź wydaje się być dość prosta.

Na wewnątrz film jest jak najbardziej „nie na czasie", gdyż ukazując grozę wojny, zwłaszcza niesamowitych warunków frontu wschodniego, nie działa zachęcająco na tych, którzy jutro przywdziać mają mundury „armii europejskiej". Grad bomb lecących na miasta niemieckie, zamarznięte trupy żołnierzy, masy grobów na tyłu frontach — wszystko to sprawia, iż niejeden z widzów powtarzał za producentami i to wcale nie szeptem: „Nie wieder Krieg, nie wieder..."

Tendencje filmu są wyraźnie pacyfistyczne, sprzeczne z polityką rządu w Bonn.

Pamiętając zaś o tym, że Niemcy bardzo niechętnie przyznają się wobec świata do lat 1933-1945, trudno się rządowi w Bonn dziwić, iż postanowił nie pokazać tego filmu zagranicy. Nie byłby on i tu najlepszą reklamą. Z jednej strony bowiem pokazuje on podatność Niemców na uleganie wpływom politycznych szarlatanów, ukazuje ich masę wyjącą w ekstazie „Heil! Heil! Heil!" — i to nie tylko młodzież niedowarzona uległa tej magii — po twarzach starych kobiet płyną na tym filmie ekstatyczne łzy, gdy widzą „jego". Nie ma się czym w świecie chwalić. A wreszcie widać na filmie próbki niemieckiego sadyzmu, ślady zbrodni nieludzkich — są to fragmenty z kacetów. Te zdjęcia — robione po wkroczeniu aliantów, gdy owe fabryki śmierci były już nieczynne — ukazują oczywiście tylko znikomą część straszliwej prawdy o Niemcach. Stosy kości ludzkich koło krematorium, komora gazowa, puszka po cyklonie, wynoszone trupy-szkielety, to jeszcze i dziś robi ogromne wrażenie. Ale to nie „towar" na eksport. W każdym razie dzisiejszych, tak demokratycznych, „dobrych" Niemców nie stać na takie przyznanie się do winy.

Jedną prawdę trzeba filmowi oddać: w przeważającej swej części jest obrazem obiektywnym. Często operuje kontrastami dla widza niemieckiego drastycznymi. Na przykład, po obrazie entuzjastycznej zbiórki futer i odzieży dla wojska następuje inny obraz ówczesnej rzeczywistości — nędzarze w kacetach, z komentarzem: „nie dla wszystkich pomoc i objawy serca".

Sporo w filmie fragmentów tyczących Polski. I tu komentarze są obiektywne. Najpierw więc mowa o rozpętaniu wojny zaborczej przeciw Polsce, potem widać fragment bombardowania Warszawy w 1939 roku, olbrzymie pożary niewojskowych obiektów. Jakby dla pokazania, że to Niemcy sami sprowokowali straszliwy odwet, jaki spadł z powietrza na ich kraj. Najciekawsze są oczywiście fragmenty z okresu flirtu sowiecko-niemieckiego. Komentarz stwierdza, że pakt Ribbentrop-Mołotow był zaskoczeniem całego świata i umożliwił agresję przeciw Polsce, „która tyle razy była rozbierana przez wrogów i teraz raz jeszcze uległa ich zmowie". Trochę niedokładna jest mapa ilustrująca postęp zdobyczy Hitlera: nie tylko Gdańsk, Pomorze i Wielkopolska zostały wcielone do Reichu, ale i Śląsk i Łódź a praktycznie i całe G.G., na razie określane jako „Nebenland", wymagający pewnych „zabiegów" przed wcieleniem do Gross-Deutschland.

Trochę o reakcjach widzów. Trzeba najpierw stwierdzić, że przeważają wśród nich ludzie starsi, tacy, co to powiedzieć o sobie mogą „pars fui" a niejeden zapewne rozpoznaje siebie wśród rozentuzjazmowanych tłumów. Jak na ogół niechętnie oni o tamtych czasach mówią, tak znalazłszy się między sobą, w kinie, nawet się z owej swej mądrości i ze swych wodzów pośmiać radzi. Taką salwą na przykład wybuchnęli, gdy wice-Führer Rudolf Hess ryczał w jakimś naprawdę błędnym paroksyzmie: „Partei ist Hitler! — Hitler ist Deutschland! — Deutschland ist Hitler!" a wtórował temu powszechny ryk. „Sieg heil! Sieg heil!" Dziś dopiero widzą oczywistość tej błazenady. Śmiechem też kwitują samego Adolfa, gdy dopingując do wzmożenia wysiłku produkcyjnego dowodzi, że „nie inteligencja ale niemiecki robotnik i chłop są jego natchnieniem", czy cherlawego Goebbelsa głoszącego na krótko przed katastrofą, że „unser wird der Sieg!!". Były i charakterystyczne posykiwania na widok czegoś bardzo nieprzyjemnego, jak np. kacet, były nawet pojedyncze westchnienia kobiece „Jezus, Jezus..." Były wspomniane już wyznania wiary „Nie wieder..." na widok tragedii Stalingradu czy masowych grobów. Nasuwa się przy tym uwaga: szkoda, iż do tej pory tak mało podano Niemcom podobnej strawy reedukacyjnej, a grubo za wcześnie poczęto ich karmić mitem o „dobrych" Niemcach w rodzaju marsz. Rommla. Tylko wtedy poczucie odpowiedzialności za istnienie kacetów stałoby się powszechniejsze!

Wśród taśm tygodników dźwiękowych wyróżniają się pod względem technicznym zdjęcia produkcji japońskiej. Niezwykłe wrażenie robi fragment słynnego, zdradzieckiego bombardowania Pearl Harbour. Bombowce japońskie zbliżają się do portu na kształt stada wilków, pomykając chyłkiem wśród zalesionych, malowniczych zboczy, o które zdają się ocierać końcami skrzydeł. A za chwilę z najniższego pułapu sypie się grad bomb na bezbronną flotę amerykańską. Całkowite zaskoczenie umożliwiło spokojną pracę operatorom filmowym.

Z innych historycznie ciekawszych fragmentów wymienić należy spotkanie Hitler-Franco w Irunie na granicy hiszpańskiej, w którym zręczny Caudillo wykręcił się od roli towarzysza broni, dalej zdjęcia Mussoliniego po uwolnieniu go przez Skorzenego z górskiego więzienia, fragmenty procesu zamachowców z 20 lipca 1944 r., wreszcie dramatyczny koniec dygnitarzy Trzeciej Rzeszy, samobójstwa, niewola, proces norymberski. Jeszcze dziś denerwuje polskiego widza pełna buty postawa zbrodniarzy. Bije ona zwłaszcza od Keitla.

Film kończy się charakterystycznym memento. Oto „nasz" Hans Frank, który na ławie oskarżonych dopiero przejrzał, udziela potomności przestrogi: każdy, kto by w swym postępowaniu naśladował Trzecią Rzeszę, musi skończyć tak samo, jak ona! Zaraz po tych słowach — zdjęcie zadowolonego zwycięzcy Stalina. A na zakończenie pod adresem Niemców jeszcze raz — krzyże, krzyże, krzyże...

Film „Do 5 po 12-tej" nie jest tylko filmem dla Niemców. Jest też filmem o Niemcach. I jako taki powinien dotrzeć za granicę.

J. A. Maryański

SPRAWA KSIĘŻY ROBOTNIKÓW
W OGNIU KRYTYKI

Niedawna deklaracja trzech kardynałów francuskich w sprawie księży-robotników wywołała niekończące się echa w całej prasie nie tylko katolickiej. Z dnia na dzień księża-robotnicy doczekali się tłustych tytułów na pierwszych stronach dzienników. Ale oprócz pogoni za sensacją i aktualnością nawet „nie facnowe", laickie artykuły odzwierciedlają tę prawdę, że problem pozostał żywy i że decyzja Watykanu, kładąc kres misyjnemu eksperymentowi, przynajmniej w jego obecnej formie, zbudziła ze snu nawet tych, co spali.

W niektórych odezwaniach się przebija wyraźnie gorycz. Tak na przykład dwutygodnik „Actualité religieuse", omawiając obszernie tę kwestię, nawraca do świeżej wypowiedzi kardynała Lille: „Być księdzem i być księdzem-robotnikiem, to dwie różne funkcje, dwa różne stany i nie jest rzeczą możliwą połączyć je w tej samej osobie bez wykrzywienia istoty kapłaństwa. Tak, ale kapłan, wyłączony spośród ludzi, jest również między ludzi posłany. Byli już przecież księża-posłowie, księża-nauczyciele, księża-uczeni, księża-żołnierze. Zagadnienia te są tak ważne i tak bolesne zarazem, że nie sądzimy, by naszym obowiązkiem było zmilczeć. Nie mamy bynajmniej ochoty się spierać. Po prostu szukamy światła, ale gdyby nawet takie czy inne ciemności miały przetrwać, wiemy o tym i głosimy to zawsze, że skoro Kościół przemówił, można tylko słuchać." I w zakończeniu artykuł przytacza te znamienne słowa ojca Sertillanges: „Jeśli złączeni z Kościołem powinniśmy umieć dlań cierpieć — to się samo przez się rozumie — ale też i cierpieć p r z e z e ń, gdyż to jest wyższym dowodem przywiązania."

Nie ulega więc wątpliwości, że decyzja Watykanu zabolała we Francji te wszystkie czynniki i te wszystkie środowiska, które pokładały wielkie nadzieje w młodym apostolacie. Pesymiści zatrzymują się nad tym zdaniem deklaracji: „Eksperyment księży-robotników... nie może ostać się w obecnej swej formie." Optymiści wolą: „Kościół chętnie się zgodzi na to, aby księża posiadający wystarczające kwalifikacje utrzymywali kapłańskie apostolstwo w środowisku robotniczym." W każdym razie Watykan zachęcił Episkopat francuski do wypracowania nowych form organizacyjnych, w których by ten sam cel, apostolstwo wśród proletariatu, mógł być osiągnięty z mniejszym niebezpieczeństwem dla samej istoty kapłaństwa.

Nie od rzeczy będzie dla polskiego czytelnika przypomnieć dokładniej początki Misji Paryża. Powstanie jej łączy się z osobą kardynała Suharda, niedawno zmarłego oraz księdza Godin. Dwanaście lat temu pewna broszura p.t. „Francja — kraj misyjny" spędziła sen z oczu kardynałowi. Reasumowała ona i ujmowała w cyfry stan rzeczy, który wytworzył się we Francji od dawna, a mianowicie wykształtowanie się całkowicie poza zasięg wpływów Kościoła całej warstwy społecznej we Francji już nie odchrystianizowanej, a nigdy nie mającej z chrześcijaństwem nic wspólnego, ugór kompletny, na którym dopiero komuniści mogli tym łatwiej siać i zbierać. Na tym ugorze odizolowane kościoły i parafie skupiają zaledwie drobny ułamek mieszczaństwa: chodzenie na Mszę stało się znakiem przynależności klasowej. Ks. Daniel w dzienniku „La Croix" podaje cyfry: 20 proc. praktykujących w jednej parafii, z czego najwyżej 5 proc. robotników (jeden jedyny praktykujący doker w całej dzielnicy Rouen, o którym pisze Michel Quoist w swojej książce: „Miasto i człowiek").

Kiedy zawiodły więc kazania w pustym kościele, koniecznym się wydało kardynałowi uciec się do właściwych środków misyjnych, do obecności, do przykładu. Aby mieć wpływ na robotników, trzeba było pójść między nich, co więcej, stać się jednym z nich. Aby przywieść te masy do Chrystusa, trzeba było zanieść Go im osobiście. Tak powstali księża-robotnicy. Na polecenie kardynała Suharda ks. Godin wziął w swoje ręce urzeczywistnienie projektu. We wrześniu 1943 pierwsza grupa 7 księży poszła do fabryk. W chwili obecnej liczba ich nie przekraczała setki, z czego 25 z samej Misji Paryża. Pracowali oni jako robotnicy w przemyśle metalurgicznym, automobilowym, jako tragarze w Halach itd. Terenem ich działalności były ludowe dzielnice Paryża (18 i 20) albo przedmieścia, jak Montreuil, Billancourt, Kremlin-Bicêtre. Na prowincji znaleźć ich można było w główniejszych ośrodkach przemysłowych, przy budowie tam, w portach, po dwu mniej więcej na diecezję. Także i wiele ugrupowań zakonnych miało księży-robotników w swoich szeregach: jezuici, kapucyni, franciszkanie, dominikanie, razem ok. 20 na wyżej wzmiankowaną setkę. Oprócz właściwych księży-robotników wymienić należałoby braciszków ojca de Foucauld, po większej części bez święceń kapłańskich, którzy, rozsiani po Francji, Saharze, Bliskim Wschodzie, żyją w małych grupach od 5 do 6 i stosują się do warunków życia miejscowego, łącząc pracę fizyczną z modlitwą i kontemplacją.

Jeszcze inna forma tego posłannictwa, to wikarzy-robotnicy, którzy pracując w fabryce, spełniali równocześnie funkcję wikarych w parafiach, do których ich przydzielono. Miało to być próbą rozwiązania problemu kontaktów pomiędzy parafią a ośrodkiem misyjnym. Wspomnieć należy również pewną ilość księży w parafiach wiejskich, pracujących na polu jako robotnicy sezonowi lub też przez cały rok.

Nie należy myśleć, że wszyscy księża-robotnicy z tej setki zaangażowali się w syndykatach robtniczych lub ugrupowaniach politycznych. Ogół zaalarmowany został faktem aresztowania dwu księży-robotników podczas manifestacji komunistycznej przeciw generałowi Ridgway'owi w maju 1952. Być może, była to przysłowiowa kropla, która przepełniła miarę niepokoju, z jaką władze centralne Kościoła obserwowały pracę misyjną we Francji. Oczywiście, niebezpieczeństwo było wielkie, że u niektórych z nich robotnik wyprze powoli kapłana, że poczucie przynależności do pewnej klasy społecznej, tym silniejsze, że z wyboru, zatrze lub odsunie na plan drugi poczucie nadprzyrodzoności kapłaństwa czy nawet całkiem po prostu i wiary chrześcijańskiej. Ale, jak pisał François Mauriac w 1952 roku w „Figaro", czyż niesienie Ewangelii było kiedykolwiek wolne od tego niebezpieczeństwa? Apostoł zawsze wydany jest grzesznikowi i zawsze naraża się za swych braci na szwank, tak na ciele jak i na duszy. Z drugiej strony szerzenie Ewangelii w środowiskach mieszczańskich czy wielkoświatowych także nie jest pozbawione ryzyka, mniej może bijącego w oczy, ale równie groźnego. Jest to piec ognisty, w który trzeba zstąpić z ufnością i wiarą trzech młodzieńców z Pisma Świętego.

Najlepsze pióra katolickie Francji zaangażowały się więc w obronie apostolatu robotniczego, z którego katolicyzm francuski bardzo był dumny. Ukazało się kilka powieści, ilustrujących trudną pracę księży-robotników. W 1950 roku seria artykułów ujęta w tom pt. „U księży-robotników", w 1952 — „Święci idą do piekła" Gilberta Cesbron i „Pies Boży" Anglade'a, w 1953 „Jezus incognito" Josse Alzin. Same tytuły tych książek są znamienne, jak i artykuły różnych autorów, jak np. „Na froncie chrześcijaństwa", czy „Komandosi Kościoła".

Ostatni felieton François Mauriaca w „Figaro" odzwierciedla ten stan duszy katolików francuskich. Cóż jaśniejszego, pisze on, niż punkt widzenia Kościoła, tak jak go określił kardynał Liénart: doświadczenie trwać nie może w obecnej formie: musi oblec formę nową. Nie do nas należy sądzić tę decyzję. W tej chwili najważniejszy jest sposób, w jaki ją przyjmą sami księża-robotnicy. Albo, przekładając nad wszystko przynależność swoją do Kościoła, okażą, że obawy władz hierarchicznych były niesłuszne, albo też krnąbrną postawą usprawiedliwią je.

W dalszym ciągu swego felietonu François Mauriac rozróżnia dwie jakby warstwy w łonie samej hierarchii kościelnej. W osobie swoich biskupów Kościół ustawia się na poziomie najprostszych księży i ma, jak oni, codzień do czynienia z odchrystianizowaniem mas. To tłumaczy gorące poparcie apostolatu robotniczego przez kardynała Suharda oraz, w bardziej zróżnicowany sposób, przez jego następcę, kardynała Feltina. Ale, ze stolicy Piotrowej, wzrok niesie dalej: dla Ojca świętego wartość absolutną ma nie proletariat, ale właśnie kapłaństwo. W istocie bowiem proletariat podlega ewolucji. Czy „deproletaryzacja" zaczęta już w Stanach Zjednoczonych rozprzestrzeni się i gdzie indziej? Czy angielskie i amerykańskie fabryki robotów zapowiadają za pół wieku całkowitą zmianę stanu robotniczego? Można w to wierzyć. Stan kapłański za to nie zmieni się i aż do końca świata pozostanie ten sam. Człowiek, który od Syna Człowieczego otrzymał władzę odpuszczania grzechów i który wznosi kielich w imieniu całego ludu, nie będzie nigdy człowiekiem takim jak inni.

Tu leży więc „istota zagadnienia" (jak zresztą François Mauriac tytułuje swój felieton). Istotą zagadnienia jest według niego pokusa księdza, w świecie, który z powrotem wpadł w bałwochwalstwo, w świecie, w którym nikt, jak sądzi, nie potrzebuje go, w którym do nikogo nie jest podobny, aby stać się człowiekiem, jak inni, aby włączyć się do stada. Najcięższym dla niego poświęceniem byłoby właśnie poświęcać się w taki sposób...

Wszystko więc sprowadza się do zagadnienia wiary. Jeżeli ksiądz-robotnik wierzy w to, czym jest, w to, co robi, największą miłość dla swych braci okaże wyrzekając się służenia im według swego zdania, chociażby ono wydawało mu się najsłuszniejsze, a metody narzucone przez hierarchię najmniej skuteczne. „Mówię tu wbrew memu sercu, a raczej wbrew moim skłonnościom — pisze Mauriac — ale musimy powiedzieć księdzu-robotnikowi twardą prawdę: najgorsze ze wszystkiego byłoby, gdyby nie przechował w sobie za wszelką cenę owego kapłana, którego potrzebują jego bracia, gdyż wtedy cóż by mu pozostało? To najgorsze stać się nie może. Ważne tylko, byśmy uprzytomnili sobie, że te anielskie zapasy mają miejsce nad brzegiem przepaści."

Dawno już wewnętrzna sprawa hierarchii kościelnej nie poruszyła sumień tak głęboko. Napewno dobrze się stało. Być może, korzystając z doświadczeń „komandosów Kościoła", z ich porażek, triumfów i z ich potknięć nawet Kościół odmłodzi formy swego apostolstwa, co mu pozwoli stanąć na wysokości zatrważających problemów misyjnych naszej epoki.

Zofia Romanowiczowa

25-LECIE TRAKTATÓW LATERAŃSKICH

Dnia 20 września 1870 wojska włoskie zajęły Rzym. I odtąd zaczęło się dobrowolne zamknięcie się Papieży w Watykanie a zarazem dążenie do rozwiązania tak zwanej „kwestii rzymskiej". Ostatecznie do pomyślnego rezultatu doprowadziły pertraktacje prowadzone za dyktatury Mussoliniego od 6 sierpnia 1926. Owocem ich było podpisanie w roku 1929, w dniu Objawienia Matki Boskiej w Lourdes 11 lutego, Paktów Laterańskich: traktatu i konkordatu. Weszły one w życie 7 czerwca, w dniu wymiany dokumentów ratyfikacyjnych podpisanych przez Papieża Piusa XI i króla włoskiego Wiktora Emanuela III.

Dnia 11 lutego 1929 tłumy, a wśród nich w pierwszym rzędzie klerycy różnych narodowości i krajów, zgromadziły się na placu przed bazyliką laterańską oczekując wiadomości o dokonanym podpisaniu paktów i śpiewając następnie „Te Deum". W całym świecie katolickim wiadomość o załatwieniu „kwestii rzymskiej" została przyjęta z ulgą i radością. Przez państwo włoskie na pamiątkę został wybity medal z napisem w obwodzie: „Bóg Italii i Italia Bogu XI lutego 1929", wewnątrz napisu herby papieski i włoski i napis z Pisma Świętego: „Sprawiedliwość i pokój pocałowały się".

Jak czytamy w przewodniku po Państwie Watykańskim, wydanym w języku angielskim przez biskupa Smita, kanonika bazyliki św. Piotra i mons. O'Flaherty'ego, „chociaż Papież nie jest absolutnie zobowiązany mieć prawa suwerenne nad pewnym terytorium, to jednak jest to dogodne i moralnie potrzebne, ażeby Papież był w stanie wykonywać swój urząd pasterski Namiestnika Chrystusowego ze swobodą i niezależnością, które tylko takie prawa dać mogą."

◆

Powołane zostało do życia Państwo Watykańskie: Stato della Città del Vaticano, bardzo małe obszarem, bo zaledwie obejmujące 44 hektary, liczące około 1.000 mieszkańców; wyłącznym właścicielem państwa jest Papież i on ma w nim pełną i całkowitą suwerenność: władzę prawodawczą, wykonawczą i sądowniczą.

Zanotujmy kilka głosów o tym jedynym w swoim rodzaju państwie.

„Osservatore Romano" pisał: „Tylko tyle, co konieczne, ażeby istniała i była wykonana absolutna, niezaprzeczalna i nienaruszalna suwerenność także materialna Namiestnika Chrystusowego".

Specjalne albumowe wydawnictwo „Il Vaticano nel 1944" zaznaczyło, że Państwo Watykańskie jest państwem jedynym w świecie, gdzie poddani nie mogą wybrać sobie rządu; kontyngent wojska jest w tym państwie największy w stosunku do liczby ludności, a państwo jest mimo to neutralne; w państwie tym jest jedna z największych bibliotek świata; jeden samochód przypada na 10 mieszkańców, a jeden numer telefoniczny na 2 mieszkańców; o godzinie 11 w nocy zamyka się bramy państwa, lecz przez całą noc krążą patrole; ambasadorzy i pełnomocni ministrowie państw akredytowani przy Stolicy Apostolskiej mieszkają poza terytorium państwa papieskiego.

Franciszek Pacelli, który ze strony Piusa XI był negocjatorem w pertraktacjach o rozwiązanie kwestii rzymskiej, stwierdził, że dopiero Pius XI dał państwu włoskiemu Rzym, bo do czasu Paktów Laterańskich nad Rzymem, jakkolwiek był on przyłączony siłą do państwa włoskiego, ciążyła stale, jak się wyraził Mussolini, rezerwa ze strony najwyższego religijnego autorytetu świata.

Pius XI powiedział: „To terytorium, które sobie zarezerwowaliśmy i które uznano za nasze, jest materialnie małe, lecz jest zarazem wielkie, największe na świecie, z jakiegokolwiek innego punktu widzenia się je rozpatruje... Skoro to terytorium może szczycić się kolumnadą Berniniego, kopułą Michała Anioła, skarbami wiedzy i sztuki, jakie mieszczą się w archiwach i bibliotekach, w muzeach i galeriach Watykanu, skoro kryje w sobie i strzeże grobu Księcia Apostołów, ma się prawo twierdzić, że nie ma na świecie terytorium większego i drogocenniejszego."

W. F.

CHICAGO KU CZCI ŚW. STANISŁAWA

Polskie Katolickie Stowarzyszenie Uniwersyteckie „Veritas" w Chicago urządziło w dniu 13 grudnia 1953 akademię dla uczczenia siedemsetlecia kanonizacji Patrona Polski, św. Stanisława ze Szczepanowa, Biskupa i Męczennika. Akademię jeszcze i z tego względu aktualną, że jak zaznaczył w swoim słowie wstępnym prezes „Veritasu" chicagowskiego, mec. Bronisław Połoński, dzisiejsze czasy wymagają niestety znowu od Polski męczenników za Wiarę.

Po modlitwie ułożonej i odmówionej przez ks. prałata Stanisława Piwowara, mgr. K. Liberadzki zajął się w dłuższym referacie charakterystyką czasów oraz sporu między Bolesławem Śmiałym, władcą wybitnym, lecz autokratycznym, a biskupem krakowskim Stanisławem ze Szczepanowa, człowiekiem stałych i surowych poglądów katolickich. Sporą część swego referatu mówca poświęcił omówieniu przebiegu długiego i sumiennego procesu kanonizacyjnego.

W części artystycznej Elżbieta Dziewońska, aktorka scen polskich, deklamowała wiersz Lechonia „Matka Boska Częstochowska", wkładając w jego interpretację polskie przywiązanie maryjne i wiarę w nowy cud Matki Bożej dla Polski. Walentyn Krzemiński, artysta opery warszawskiej odśpiewał dwie pieśni religijne. Opracowanie sumienne, na bardzo dobrym poziomie technicznym i artystycznym. Prof. Witold Steinert odegrał na skrzypcach z dużą wnikliwością i dużym umiarem utwory Mozarta i Haendla. Trzy pieśni religijne odśpiewał dobrze zestrojony i przygotowany Chór Chopina pod batutą prof. Steinerta. Akompaniowali: Kazimierz Wiehler i Leon Krzoska. Uroczystość zgromadziła około 300 osób.

Dr Witold Fang

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 14 lutego 1954.

NA SALI ODCZYTOWEJ

Na „wieczorze wtorkowym" Ogniska Polskiego Wiesław Wohnout mówił o **„Polskim Londynie widzianym oczami prowincji".**

Jest to stosunek, jaki ma każda prowincja do swej stolicy. Stolica ma pewien autorytet, ale jednocześnie mocno ją się krytykuje. Widzimy tu jednocześnie przesadzanie wad i możliwości stolicy. Ludzie na prowincji wyobrażają sobie, że mamy duży wpływ na sprawy polskie; gdyby wiedzieli, jak bardzo jesteśmy bezsilni, byliby bardziej wyrozumiali. Prowincja w Wielkiej Brytanii wygląda lepiej niż stolica, rytm jej życia jest inny. Mamy tam równowagę potrzeb i zarobków; wielu ludzi przebiło się do stanowisk prawie kierowniczych: są tam lekarze. inżynierowie, architekci. Brak tej równowagi potęguje nerwowość i bezpłodność wysiłków. Prowincja odbija od Londynu głębokością zainteresowań i poważniejszym stosunkiem do wszystkich zagadnień. Wypowiedzi prasy traktuje się tam jak ewangelię. Na prowincji znacznie więcej czytają niż w Londynie, gdzie brak zainteresowań nie związanych bezpośrednio z potrzebami życia. Na prowincji żywo pulsuje życie społeczne: istnieją tam chóry, zespoły taneczne, kluby dyskusyjne; reakcja na odczyty i przedstawienia jest znacznie żywsza niż w Londynie.

Ks. superior Józef Jarzębowski wygłosił w Instytucie Sikorskiego odczyt pt. **„Węgierska polityka Traugutta".** Ks. Jarzębowski posiada rękopisy Traugutta z ostatnich lat jego życia, raporty szpiega austriackiego oraz notatnik Józefa Ordęgi, przyjaciela i bliskiego współpracownika Traugutta, który zawarł traktat polsko-węgierski: wszystko rzeczy dotychczas nigdzie nie publikowane.

Komitet Narodowy na początku powstania nie nawiązywał żadnych kontaktów zagranicznych (za wyjątkiem rewolucjonistów rosyjskich) z powodu braku zainteresowania ruchem polskim wśród mocarstw europejskich. Sprawę powstania na gruncie międzynarodowym postawił mimo swej woli dopiero Bismarck, proponując Rosji pomoc w jego stłumieniu. Zarysowująca się w ten sposób możliwość współpracy prusko-rosyjskiej zaniepokoiła inne mocarstwa, a przede wszystkim Francję i Austrię. Napoleon III planował sojusz francusko-austriacki i wojnę z Prusami i Rosją. Ale Austria wycofała się z tych planów, a nawet pomogła Prusom w wojnie z Danią. Wtedy nastąpił zwrot i w zagranicznej polityce Polski: opierała się ona nadal o Francję, a jednocześnie zwróciła się przeciw Austrii. Zaczęto szukać sojuszu z Włochami, Turcją, południowymi Słowianami. a przede wszystkim z Węgrami. Emigracja węgierska z 1849 r. już na początku powstania proponowała Polakom współpracę. Wtedy jednak było to niemożliwe ze względu na próby pozyskania Austrii dla Polski. Dopiero 8 marca 1864 roku stanął traktat między przywódcami węgierskimi a Rządem Narodowym. Węgrzy planowali wybuch powstania u siebie i zobowiązali się, że nie będą występowali wrogo wobec sąsiadujących z nimi narodów słowiańskich; chodziło o to, by je wciągnąć do walki z Austrią. Traugutt planował na wiosnę ożywienie powstania na wielką skalę przez wciągnięcie w nie chłopów. Był on zdania, że szlachta dała już ze siebie wszystko co mogła. Liczył na to, że gdy powstanie rozgorzeje na nowo z wielką siłą, uzyska ono pomoc z zagranicy, gdyż sytuacja międzynarodowa była napięta i wojna wisiała w powietrzu. Te wielkie plany zostały stłumione w zarodku przez aresztowanie dyktatora 8 kwietnia.

W dyskusji prezes Bielecki stwierdził, że obecnie współpraca z emigracją węgierską napotyka na trudności, gdyż Węgrzy nie chcą wchodzić w konflikt z Niemcami z powodu naszych Ziem Zachodnich. Gen. Kukiel podkreślił w odpowiedzi na to tradycyjnie bardzo przyjazne dla nas stanowisko Węgrów. Niemcy w czasie ostatniej wojny uważali Węgry za niepewnego sojusznika, głównie ze względu na ich sympatie dla Polski. Adm. Horthy żądał wycofania węgierskiej dywizji z Polski, gdy znalazła się tam ona po odwrocie z Rosji. Z odczytu wyłaniała się jednak szersza koncepcja: współpracy nie tylko z Węgrami, ale i z innymi narodami Europy Środkowo-Wschodniej.

Nad salą dominowała głęboka, mocna i poważna postać Traugutta, która wystąpiła z całą wyrazistością z jego listów i instrukcji, cytowanych z głębokim wzruszeniem przez prelegenta. Podziw budziło, jak ten człowiek, ścigany przez policję, w obliczu dogorywającego powstania, spokojnie, pewnie i mądrze kierował wypadkami. Powściągliwy w formie, pozbawiony efektów krasomówstwa, był to jeden z najgłębiej wzruszających odczytów, jakie słyszałem w Londynie.

„WIECZÓR SPRAW DRAŻLIWYCH"

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wielu emigrantów nurtują myśli, które wyjawiają tylko przyjaciołom i dobrym znajomym, a których nigdy by nie wypowiedzieli publicznie. Osobnik mający poglądy nieortodoksyjne może się łatwo narazić na to, że mili rodacy go obsmarują, że ktoś urznie jakiś anonim do Home Office (już się to zdarzało), kiedyś — na najlepszym razie — jakiś felietonista wyłączy go poza nawias emigracyjnej społeczności. MacCartyzm ma tę straszliwą wadę, że daje się dotkliwie we znaki ludziom dobrej woli na równi z prawdziwymi przestępcami.

„Wieczór spraw drażliwych", zapowiedziany przez Związek Pisarzy na czwartek 28 stycznia, w wielu rozbudził nadzieje, że tabu zostanie zdjęte z kilku przynajmniej problemów. Owo tabu, choć święte, jest niebezpieczne, ponieważ sprawy drażliwe są zawsze istotne, jak to podkreślił Michał Sambor, organizator wieczoru, w krótkim, świetnie zbudowanym przedsłowiu. Sambor jeszcze zaostrzył i tak już spore apetyty zebranych, z jego zapowiedzi bowiem wynikało, że nie chodzi o epatowanie polskich mieszczan z Londynu, lecz po prostu inteligentni ludzie mieli pokazać gronu kulturalnej publiczności pewne problemy trudne a ważne. Niestety, impreza byłaby tylko jeszcze jednym wieczorkiem literackim, mniej lub więcej ciekawym, ale mało kogo obchodzącym bezpośrednio. gdyby nie jeden wyjątek.

Juliusz Mieroszewski, bezprzecznie jeden z najciekawszych i najżywszych publicystów emigracji, tym razem zawiódł oczekiwania. Kto jak kto — wydawało się — ale Mieroszewski wyczuł już jakąś zadrę w którejś z licznych, jątrzących się ranek emigracji. Tymczasem wiele czasu poświęcił on na wyważanie drzwi otwartych: a to że politycy, nawet jeśli w życiu prywatnym zachowują się jak na chrześcijan przystało, w pracy zawodowej są amoralni, postępują w myśl zasad Makiawela a nie Chrystusa, i stąd Jałta; to znowu, że polscy pisarze poza granicami Kraju nie są w swej wolności skrępowani niczym, bo nawet nie pieniędzmi; a to że najpoważniejsze czasopismo literackie na uchodźstwie zajmuje się wyłącznie wspominkami, często sprzed pierwszej wojny światowej. Wszystko to na pewno nie są sprawy drażliwe. Nawet bluźniercze (na pozór) twierdzenie, że poezja Wierzyńskiego, Łobodowskiego i Lechonia to „echa w zburzonej katedrze", jest w gruncie rzeczy łagodniutkie, choćby tylko dlatego, że sprawa ta dziś nie zajmuje wielu ludzi.

Mieroszewski zdumiewał się, że w dzisiejszych czasach wszechobecnej polityki autor powieści „The Heart of the Matter" zajmuje się postacią kolonialnego policjanta, a T. S. Eliot pisze „The Cocktail Party", która — jak to określił mówca — odbywa się „pod pokładem tonącego statku". Bo nawet jeżeli ci dwaj autorzy zajmują się problemami metafizyki czy też innego działu filozofii, jest to — zdaniem Mieroszewskiego — eskapizmem. Problem naszych czasów jest problemem politycznym — twierdził prelegent. Mieroszewki więc i tu nie poruszył drażliwej sprawy. Co najwyżej podrażnił tych, których drażnią uproszczenia i „sweeping statements".

Jan Bielatowicz chwycił byka za rogi, gdy potępił tych, którzy twierdzą, że od r. 1944 w Polsce ciągle deszcz pada. Przede wszystkim przypomniał katolickie stanowisko: absolutne zło nie istnieje i istnieć nie może. Nie wolno nie dostrzegać w komunizmie tego, co w nim jest dobre. Nie można negatywnie ustosunkowywać się ani do odbudowy Kraju, ani do uprzemysłowienia, ani do Ziem Odzyskanych, tylko dlatego, że interesy komunistów i nasze są tu zbieżne. Nie można nie widzieć faktu, że nakłady książkowe w ciągu 8 lat panowania komunizmu wyrażają się niebotyczną cyfrą 180 milionów egzemplarzy, wśród których większość stanowi literatura piękna, że wydano wiele drogocennych tekstów staropolskich, facsimilia rękopisów i dokumentów, że uratowano od zapomnienia wielu pomniejszych pisarzy.

Bielatowicz wypowiedział się przeciwko odłamowi emigracyjnej prasy, który wyśmiewa się z tego, że gdzieś w Kraju brak cukru albo w jakiejś szkole nie wstawiono szyb w okna. Wcale nie leży to w interesie narodu polskiego, by neglizować jego wysiłki, częstokroć koronowane wspaniałymi rezultatami. Wreszcie mówca zajął stanowisko w sprawie skarbów wawelskich. Ich miejsce — powiedział — jest na Wawelu, a nie w skarbcu kanadyjskim, do którego policja łaskawie dopuszcza fotografa czasopisma „Life"!

Prof. Stanisław Stroński, który przewodniczył, polemizował z Bielatowiczem, mimo że — jak się zastrzegł — nie uważał swego „resumé" za polemikę. Oklaski i pomruki niezadowolenia, jakie towarzyszyły argumentom obu stron, wykazywały, że tym razem poruszono sprawy naprawdę drażliwe.

Ostatnim mówcą wieczoru był Karol Zbyszewski. Naprzód postawił pytanie: „Czy literatura polska ma szanse w świecie?", po czym odpowiedział krótko: „Nie!" i rozsnuł przed oczyma oczarowanej widowni pajęczynę dowcipu i inteligencji. Zbyszewski niczego nie udowodnił, ale też chyba nie chciał niczego udowadniać. Pajęczyna owa jest tak delikatna, że nie warto ryzykować uchylania jej, by zobaczyć, co się za nią kryje. Temat poruszony przez Karola Zbyszewskiego był przeciwieństwem drażliwości.

Wieczór w sumie nie był ani udały, ani nieudały. Sprawy drażliwe poruszył tylko jeden mówca — wieczór więc był nieudały. Ale za tego jednego — też jesteśmy wdzięczni. Pozostałym trzem pisarzom wolność od pieniędzy do niczego nie pomogła.

W. G.

KRONIKA MUZYCZNA

BEETHOVEN i BRAHMS

Dwóch młodych ludzi pokazało wysoką klasę w Royal Festival Hall, we czwartek, 21 stycznia. Dyrygował Hans Schmidt-Isserstedt, 4 koncert fortepianowy Beethovena grał Denis Matthews.

Program prócz tego obejmował 8 symfonię Beethovena i 4 Brahmsa.

Czwarty koncert jest utworem wyjątkowym w twórczości Beethovena. Wydany w r. 1805 powstawał w tym samym okresie, co utwory najbardziej typowe, jak „Eroica" (3 symfonia), 4 symfonia itp., po większej części jednak zupełnie nie przypomina tego, co przed nim i po nim przez długie jeszcze lata Beethoven pisał. We wszystkich tych utworach dominuje przede wszystkim uczucie i to zawsze silne. Beethoven niemal zupełnie nie wyrażał uczuć pośrednich; czy smutek czy radość są w jego utworach zawsze głębokie (mówię o wszystkich wybitnych utworach). Czwarty koncert natomiast, z wyjątkiem bardzo lirycznej części środkowej, jest zupełnie odmienny w charakterze. Nie ma w sobie zupełnie namiętności, jest wybitnie muzyczny i z muzycznego punktu widzenia jest jednym z najcelniejszych i najciekawszych utworów Beethovena. Śmiało można powiedzieć, że w tym sensie lepszej muzyki nie pisał nawet Mozart w swoich późnych symfoniach, ten Mozart, którego Beethoven tak uwielbiał.

Denis Metthews ma dobrą szkołę i zagrał koncert poprawnie, ale do prawdziwej wielkości mu jeszcze daleko. Nie jest już na tyle młody, żeby mu można było darować brak głębszego przemyślenia utworu.

◆

Czwarta symfonia Brahmsa jest ogólnie uważana, wydaje mi się zupełnie słusznie, za jego najlepszą. Podczas premiery Brahms, siedzący w loży, po każdej części otrzymywał burzę oklasków.

Wszystkie jego utwory symfoniczne sharmonizowane są w sposób klasyczny, wielki jak na owe czasy konserwatyzm, ale orkiestracja jest bardzo indywidualna. Wątki są na ogół tęskne, z dużą dozą cygańszczyzny, węgierskie stepy raczej, spalone słońcem, niż Wiedeń przywodzące na myśl. Muzyka ma charakter wybitnie symfoniczny i wybitnie orkiestralny. Akordy są pełne i zwarte, szczególnie w kulminacyjnych punktach. Czwarta symfonia jest bez wątpienia jednym z najlepszych utworów symfonicznych, jakie istnieją.

Trudność dobrego jej zagrania, jak zresztą i innych dzieł Brahmsa, polega na tym, że trzeba panować nad orkiestrą tak, aby w lawinie dźwięku nie zatarła się czystość akordów i nie zatonęły poszczególne partie, a jednocześnie, ażeby akordy nie straciły swojej zwartości, powiedziałbym nawet — szczelności.

Trudność tę potęguje fakt, że silne akordy Brahmsa opierają się głównie na instrumentach smyczkowych (znów klasycyzm), które gdy zmasowane, zawsze wydają szmer, co jest nie uniknione.

Hans Schmidt-Isserstedt wywiązał się z zadania doskonale, wychodząc zwycięsko z wszystkich tych trudności i ładnie interpretując dzieło. Zasłużył na gorące przyjęcie, jakie otrzymał.

B. G.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne

REWOLTA W TATE GALLERY

Sensację w kołach artystycznych Londynu wywołał ogłoszony w prasie list otwarty znanego malarza Grahama Sutherlanda, tłumaczący powody jego ustąpienia z zespołu powierniczego Tate Gallery, największej obok National Gallery publicznej galerii obrazów w Londynie.

Sutherland twierdzi najpierw, że zespół powierniczy (Board) galerii wprowadzany był w błąd co do sposobu zużywania pieniędzy, uzyskanych z zapisów i funduszów publicznych. „Mam powody do przypuszczania — pisze Sutherland — że w szeregu wypadków nie uwzględniono życzeń ofiarodawców".

Drugi ciężki zarzut polega na tym, że „Board" była mylnie informowana o bieżącej wartości rynkowej nowoczesnych dzieł sztuki, w wyniku czego zmarnowano wiele grosza publicznego. Równocześnie przeoczono wiele sposobności do zakupienia po rozsądnych cenach dzieł artystów nowoczesnych o niezaprzeczalnym talencie i reputacji. Tak np. jeden z dobrych obrazów, który właśnie został zakupiony, mógł być nabyty każdego czasu w ciągu ostatnich pięciu lat za niewiele więcej niż za połowę ceny, zapłaconej w grudniu 1953 r.

List Grahama Sutherlanda wywoła niewątpliwie wyjaśnienia ze strony władz Tate Gallery.

WYSTAWA NOWOCZESNEJ KSIĄŻKI FRANCUSKIEJ

W Central Hall koło Opactwa Westminsterskiego odbyła się pod nazwą „The French Book of To-day" wystawa nowej książki francuskiej. Było około 3.000 eksponatów, pochodzących od 120 firm wydawniczych, które łącznie wystawę zorganizowały.

Wysiłkiem organizatorów było przedstawić wszystkie typy produkcji książkowej. W roku ubiegłym — jak się dowiadujemy z objaśnień komisji organizacyjnej — we Francji ujrzało światło dzienne ogółem 10.000 książek o łącznym nakładzie 160 milionów egz. Nakłady są różne dla poszczególnych typów książek; książki naukowe, które szybko ulegają przedawnieniu, drukowane są w nakładach po 1.500-2.500 egzemplarzy, książki lekarskie — 8.000 egz., książki wychowawcze w granicach 4.000-120.000 egz., a beletrystyka w granicach 4.000-30.000.

Liczba firm wydawniczych we Francji wynosi obecnie około pięciuset, to jest mniej więcej tyle samo, co przed wojną. Wkrótce po wojnie firmy te zaczęły się mnożyć jak grzyby po deszczu i ilość ich doszła do 1500, później jednak większość z nich upadła.

Jedną z charakterystycznych zmian w wyposażeniu zewnętrznym książki francuskiej jest dążność do dawania im solidniejszych, twardszych okładek (przykładem jest tu „Collection Pourpre"), w miejsce okładek z samego papieru. Jest to proces odwrotny niż w krajach anglosaskich, gdzie do tej pory przeważały okładki sztywne, ostatnio jednak rośnie dążność do produkowania tomików w okładkach papierowych.

Wystawa poza Londynem odbyła się także w Manchesterze, Oksfordzie i Edynburgu, obecnie zaś ruszyła do Madrytu.

ZNALEZIONY OBRAZ RUBENSA

Parę tygodni temu w rupieciarni Capesthorne Hall, jednej z wiejskich rezydencji w Cheshire, dokonano niezwykłego odkrycia. Znaleziono mianowicie rozcięty na dwie części świetny szkic Rubensa, przedstawiający dwie głowy męskie ze spojrzeniami zwróconymi ku górze.

Odkrycia dokonał znany restaurator obrazów p. Horace Buttery, który szkic Rubensa starannie naprawił. Znawcy sztuki stwierdzili, że jest to jeden ze szkiców Rubensa, na podstawie których uczniowie jego namalowali słynne „Wniebowzięcie" w kościele Krzyża Świętego w Augsburgu.

„BYŁA SOBIE PIOSENKA"

W niedzielę, dnia 28 lutego o godz. 3.30 po poł. z okazji 10-lecia Z.A.S.P. zagranicą wystawione będzie specjalnie napisane wielkie widowisko śpiewno-taneczno-muzyczne w 20 obrazach pióra Ref-Rena p. t. „Była sobie piosenka".

W widowisku tym wystąpią: E. Biedrzycka, J. Czerwińska, K. Dygatówna, A. Iwanowska, J. Jakubówna, D. Karell, T. Korian, W. Majewska, N. Oleńska, L. Romanowska, Z. Terne, J. Wtórzecka oraz L. Biedrzycki, A. Bożyński, T. Faliszewski, F. Jarosy, F. Karpowicz, R. Kiersnowski, S. Laskowski, L. Lawiński, M. Malicz, W. Mirecki, W. Prus-Olszowski, Ref-Ren, S. Ruszała, Z. Rewkowski, S. Zięciakiewicz oraz zespół muzyczny: M. Drue — S. Norbert — S. Rozengart. Reżyseria F. Jarosy. Dekoracje: S. Mikuły.

Widowisko wystawione będzie w sali St. Pancras Town Hall (Assembly Rooms) a bilety w cenie od 3/- do 8/- wcześniej do nabycia tylko w przedsprzedaży w Orbisie, SPK oraz w kiosku „Ogniska Polskiego".

POGADANKI JĘZYKOWE

PROWINCJONALIZM CZY REGIONALIZM?

W poprzedniej pogadance o językowych różnicach dzielnicowych, które przywieźliśmy ze sobą na emigrację, starałem się uwidocznić fakt jednolitości naszej mowy na całym jej obszarze, w przeciwieństwie do wielu innych języków europejskich, o wiele bardziej zróżnicowanych. Wobec tej jednolitości owe rozbieżności regionalne są stosunkowo nieznaczne i bynajmniej nie są zjawiskiem ujemnym.

Dzisiaj chciałbym się zająć inną stroną tego samego zagadnienia. Oto rozpowszechniło się nie tylko wśród Polaków, ale i w wielu innych krajach, wyobrażenie, często zwalczane, ale mimo to tkwiące w świadomości czy podświadomości ogółu, że „najlepiej" mówią mieszkańcy stolic. Regionalizmy pozastołeczne noszą miano prowincjonalizmów, a w nazwie tej kryje się pewna krytyczna ich ocena, stwierdzenie niższości języka prowincji w stosunku do języka stolicy. Warszawiacy np. zawsze patrzyli trochę z wysoka na „prowincjałów" także w dziedzinie językowej, a kontrataki „galileuszów" czy Poznańczyków miały w sobie coś z obrony przeciw władczym zapędom lingwistycznym stolicy, zupełnie — ich zdaniem — nieuzasadnionym. Wszyscy znamy te wzajemne przekomarzania czy nawet zacięte spory.

Spójrzmy na tę sprawę spokojnie i bezstronnie. Czy „stołeczność" może być sprawdzianem doskonałości języka, a „prowincjonalność" kryterium jego niepoprawności? Weźmy Polskę. Jej stolica zmieniała się w ciągu wieków kilkakrotnie. W czasach historycznych było nią najpierw Gniezno (względnie Poznań), potem Kraków, wreszcie Warszawa. Gdyby przyjąć wspomniane kryterium, znaczyłoby to, że za pierwszych Piastów wzorem polszczyzny była mowa Wielkopolan znad Warty i Gopła, którzy nagle — gdzieś w okresie Krzywoustego — zaczęli popełniać prowincjonalizmy i berło językowe przekazali Krakowianom, dotychczasowym „prowincjałom". Ci z kolei za Zygmunta III przestali mówić poprawnie, bo poprawność przeniosła się wtedy na Mazowsze, do Warszawy. Dochodzimy do absurdu.

Ale pojęcie stolicy może być zmienne nie tylko w czasie, lecz niekiedy także — równocześnie — w przestrzeni. Stany Zjednoczone mają właściwie dwie stolice: jedną urzędową — Waszyngton, a drugą niejako narodową — Nowy Jork. Która z nich jest językowo miarodajna, skoro ich amerykańska angielszczyzna nie jest jednakowa i w Waszyngtonie zalatuje silnie południowym przeciąganiem (Southern drawl)? Wiadomo, że za wzorowy język tego kraju uchodzi mowa Bostonu, a więc ani jednej ani drugiej stolicy Stanów Zjednoczonych, lecz właśnie prowincji. To samo odnosi się w Anglii do Oksfordu.

Z tego wniosek, że termin „prowincjonalizm" jest w stosunku do języka niewłaściwy, ponieważ sugeruje, że językiem jedynie poprawnym jest język stolicy. Trafną natomiast jest nazwa regionalizmu, gdyż regionalizmy są w zasadzie równowartościowe i żaden z nich nie ma „kompleksu wyższości". Należy do nich również mowa miasta stołecznego i jego okolicy, skoro między nią a innymi częściami kraju zachodzą różnice, choćby najmniejsze, czy to w słownictwie, czy w stylu, czy choćby w akcencie i intonacji. Istnieją więc niewątpliwie regionalizmy warszawskie (względnie mazowieckie), np. „s ł u c h a ć s i ę" w sensie „być posłusznym", „słuchać" albo popularne w sklepach warszawskich zapytanie, z jakim kupiec zwraca się do klienta: „p a n ż y c z y ?" zamiast: „czego pan sobie życzy?".

Stojąc na stanowisku, że regionalizmy są w zasadzie równowartościowe, przestrzegamy niejako „demokracji językowej". Piękny wyraz małopolski „d r e w u t n i a", oznaczający komórkę, gdzie składa się drzewo na opał, zasługuje na ogólnopolskie prawo obywatelstwa. Nie hołdując zasadom puryzmu, którym zajmiemy się w jednej z następnych pogadanek, musimy jednak stwierdzić, że gdy z dwu regionalizmów, mających to samo znaczenie, jeden jest wyraźnie obcego pochodzenia, zasługuje on na odrzucenie na rzecz drugiego, rodzimego. Warszawski „z d u n" bije małopolskiego „k a f l a r z a" na oznaczenie rzemieślnika, budującego lub naprawiającego piece kaflowe, gdyż pierwszy wyraz jest pięknym zabytkiem staropolszczyzny, drugi zaś naleciałością niemiecką. Jakże jednak dokonać wyboru miana tego samego wyrobu piekarskiego, który (jak wspomnieliśmy w poprzedniej pogadance) nazywa się w Małopolsce z niemiecka „s t r u c l ą" a w Warszawie z hebrajska „c h a ł ą" („c h a ł k ą")?

Swojskie, rodzime regionalizmy są bogactwem języka polskiego, które należy ochraniać i pielęgnować.

Wig.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY: a) **w krajach bloku szterlingowego:** — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego. c) **we wszystkich innych krajach:** — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście - 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Av. Leandro. Alem 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty. Ltd.**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kułakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. — 80 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **P. M. K.**, Schorsmolenstraat 9, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, Western Ave., Montreal 6 oraz **International Book Service**, 220, Queen Street W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00; NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr 4, Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz **„Informacja Prasowa"** — Postfach 86 (23) Quackenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"** — 615, Henry Street, Utica N. Y. oraz **M. Kijowski** — 13171, McDougall, Detroit 12, Mich, oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne N. Jersey, oraz **„Pomoc" — Export Import** — 761. Fillmore Ave, Buffalo 12„ N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr. B. Kurowski** — Lund, Revigegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme. Z. Bulhak-Jelska** — via Salaria 300/c, Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.